Nr 52 (1562) Warszawa, 24 grudnia 1910 r. **Rok XXX**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na kwartał 1-szy r. p.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Rodiczew do Polaków.

W podniesionej ostatnio sprawie stosunków postępowych Rosjan do Polski, strona bezpośrednio zainteresowana dotąd nie zabierała głosu. Tworzyło to pewną lukę w dyskusji. Wypełnił ją wreszcie poseł Teodor Rodiczew, który w tych dniach ogłosił w *Kurjerze Porannym* pierwszy artykuł p. t. *O sceptycyzmie opinji polskiej*, który ma pociągnąć za sobą szereg dalszych wynurzeń.

Postępowa Rosja, zwłaszcza w osobie „kadetów", winna nam była wyjaśnienie. Wielka jej popularność w Polsce doznała ostatnimi czasy pewnego zaćmienia. W tych warunkach, w jakich żyjemy obecnie, ranione bez ustanku uczucie narodowe nabrzmiało zrozumiałą goryczą, która ujawnić się musiała także w stosunku do kadetów. Zamiast niedawnej przesadnej może wiary w tryumf postępowych żywiołów rosyjskich — zjawił się krańcowy pesymizm. Zwątpiono, by kiedykolwiek Rosja wydostała się z matni; nadmierny sceptycyzm naszej opinji, podsycany zresztą umiejętnie, skłania się dziś do tego, by nawet w heroicznych wysiłkach młodej Rosji widzieć jeno splot bezładnych i rozpaczliwych szamotań. Nadomiar, sfery zachowawcze polskie, które nigdy nie mogły nakłonić siebie do współczucia i szczerego współdziałania z demokracją rosyjską — trwając zresztą w zażartej walce z demokracją własnego narodu — skorzystały bardzo skwapliwie z najbłahszych pozorów, by obarczyć „kadetów" rosyjskich serją zarzutów i oskarżeń.

Jakkolwiek ten manewr znalazł stosowny odpór w naszym społeczeństwie, tym nie mniej dobrze się stało, że w takiej chwili wystąpił jeden z naszych „przyjaciół Moskali" ze słowami szczerości, życzliwości i otuchy. Dobrze się stało, że powiedział do nas bezpośrednio: „ufajcie! Myśmy zwyciężeni narazie, ale nie zniszczeni"...

Ton i treść słów Rodiczewa stanowi tak jaskrawy kontrast z tym wszystkim, co dziś mówi się o Polsce z trybuny dumskiej i co się pisze w cyrkularzach, — że powinni to chyba ocenić i uszanować nawet ci, co jak p. Dmowski, wyładowują w kierunku lewicy rosyjskiej gorycz naszych zawodów i kwasy uprzedzeń osobistych. B. prezes Koła zabrnął tak daleko w tej czynności, że dziś patrzy na opozycję rosyjską raczej oczami antysemity, niż Polaka. Żydowskie sympatje kadetów przysłoniły mu zupełnie ich lojalne względem nas stanowisko, ich pierwszorzędne zasługi na polu propagandy idei autonomicznej w narodzie rosyjskim. Taki daltonizm polityczny winien być uznany za niebezpieczne kalectwo.

* * *

Na czele swoich wynurzeń umieścił Rodiczew kilka trafnych uwag o stosunku kadetów do sprawy polskiej. „Niewiara w szczerość polityki kadetów — powiedział do pewnego dziennikarza — nie jest chyba wynikiem ich postępowania, niezmiennego od początku do końca. Stojąc na stanowisku szerokiego pojmowania prawa każdej narodowości do odrębnego rozwoju kulturalno-społecznego swego bytu, uznali oni za przyszły ideał ustroju państwowego Rosji posiadanie urządzeń autonomicznych przez wszystkie narodowości, wchodzące w skład Imperjum Rosyjskiego. Ponieważ jednak ustrój autonomiczny wymaga

pewnego rozwoju kulturalnego narodu, przeto na czas obecny kadeci uznali za możliwe, a nawet konieczne włączyć do swego programu praktycznego jedynie autonomję Polski. Z tym punktem programu swego odnieśli oni świetne zwycięztwo w kampanji wyborczej do I Dumy. Z tym samym programem weszli oni jako większość parlamentarna do II Dumy, nie bacząc na to, że uzbrojony przeciwko nim rząd ówczesny osłabił silnie partję przez usunięcie najlepszych jej przedstawicieli (procesy o odezwę wyborską). W ten sposób autonomja Polski przeszła próbę ogniową w zapatrywaniu narodu rosyjskiego. Nie można w danym wypadku przypisywać zwycięztwa kadetów jedynie tylko ich programowi agrarnemu, boć w tym względzie partje skrajne szły znacznie dalej. Autonomja Polski jest w dalszym ciągu niezmiennie zasadniczym punktem ich programu, nie znajdując ani jednego przeciwnika w łonie partji. Nawet nurtujący partję rewizjonizm, domagając się przejrzenia wielu punktów programu, tego punktu dotknąć nie zamierza".

W paru lakonicznych zdaniach zbija tedy Rodiczew twierdzenia, rzucone niedawno ze szpalt *Gazety Warszawskiej*, jakoby stronnictwo kadetów chciało zaprzepaścić, zagubić autonomję polską w nieskończonym szeregu autonomji różnych czukczów i czeremisów, a to gwoli abstrakcyjnemu pojmowaniu zasad wolnościowych. Okazuje się jednak, co nie jest dla nas niespodzianką, że kadeci pojmują doskonale różnicę, jaka zachodzi w skali potrzeb i praw politycznych pomiędzy Polską a wspomnianymi szczepami. Zatym jedynie zła wola lub upór na tle przeciwieństw partyjnych mogą zarzucić „kadetom" w tym względzie jakąś dogmatyczną interpretację programu autonomji na naszą niekorzyść.

* * *

Przechodząc do krytycznej oceny dzisiejszych stosunków w państwie Rosyjskim, Rodiczew zastrzega się przedewszystkim przeciw przykrawaniu do całego społeczeństwa kryterjów obecnej większości w III Dumie, oraz poglądów, dominujących w prasie tego typu, co *Nowoje Wremia*. Owe bowiem kryterja wydobyto mozolnie i sztucznie na powierzchnię życia systemem wiadomych represji i ograniczeń. Są one jaskrawym szyldem, który nikogo łudzić nie powinien, choć wisi na miejscu widocznym. Ktokolwiek da posłuch dominującej dziś wrzawie głosów uprzywilejowanych, temu Rosja wyda się wsteczną i polakożerczą. Rzeczywistość przedstawia się inaczej. Wymuszona na olbrzymiej przestrzeni cisza kryje zupełnie inne poglądy, niż te, które głoszą z trybuny Markow II oraz Puriszkiewicz. „Kraj trzyma z opozycją. Codziennie widzimy i odczuwamy to usposobienie społeczeństwa, usposobienie mas ludowych. Nie mówimy nawet, że jest to taka nasza ufność. Nie, my jesteśmy tego pewni".

Sfery, które dziś nadają ton polityce rosyjskiej, nie mają najmniejszych zdolności twórczych; według malowniczego określenia Rodiczewa, u steru stoją dziś „niewidomi". — „Nie chcemy przesadzać. I nie chcemy prorokować. Wiele jeszcze może będzie zdeptanej żywej runi w niepowstrzymanym biegu niewidomych. Nie dojrzeć końca ich drogi. Lecz kraj nie idzie razem z nimi, nie może iść razem z nimi. Instynkt bowiem życia nie wygasł w nim i posiada zrozumienie jasne. I ocali się od korupcji i zagłady".

Istotnie, dziwnym byłoby, gdyby naród rosyjski solidaryzował się z ludźmi, będącymi uosobieniem przywilejów i nierówności, które on dotkliwie odczuwa. Wprawdzie dają mu oni pewien ekwiwalent w upośledzeniu inorodczych kresów na korzyść rdzennego centrum, lecz trudno, by ten fikcyjny przywilej przysłaniał mu jego własne realne upośledzenie. Nie jest to polityka na długą metę; piętrzy ona naokół siebie zniszczenie, rozstrój, zgniliznę.

Rosja odrodzona, która się z tego chaosu wyłoni, musi być demokratyczną i wolnościową, bowiem dzisiejszy okres reakcji ukaże masom dowodnie, że metoda gnębienia kresów inorodczych jest niechybną przygrywką do wewnętrznej niewoli.

„Konstytucjonalizm rosyjski nie stanowi doktryny marzycieli i formalistów — woła Rodiczew. — Nie pragniemy równouprawnienia abstrakcyjnego, nie łoża Prokrustowego chcemy dla wszystkich obywateli Rosji, lecz swobodnego rozwoju wszystkich i każdego. Wierzymy w Rosję i wierzymy w rozwój państwowości rosyjskiej, wiążącej różne narodowości w wolny związek mocą ich własnego, poszczególnego samopoczucia narodowego.

Nie czujemy się ani unicestwionymi, ani poniżonymi. Prawda, zostaliśmy zwyciężeni. Lecz nie możemy nie wiedzieć tego, że oręż, zwrócony przeciwko nam, gubi przedewszystkim naszych przeciwników. Czujemy, że znajdujemy się wśród potężnego prądu historycznego, w łożysku wartkiego potoku. Przy nas żywioł historji, siła idei. Można im stawiać tamy, lecz prąd tamy owe ominie, lub podmyje. Podczas dni tych, dni dzisiejszych widomego zwycięztwa sił wrogich, co godzina sprawdzamy nasze siły, nasze widoki. I nie mamy miejsca na wątpliwości co do dróg naszej ojczyzny. I ten sam, co dawniej posiadamy sztandar. Nasz zapał jest inny, lecz i doświadczenie inne. Krótkie, lecz bogate. Nasza wiara stała się wiedzą. Nie ukrywamy tego przed sobą, że środki nieszczęść wewnętrznych narodu rosyjskiego, pogwałceń formalnych jego prawa, może nie są jeszcze wyczerpane, lecz wiemy o ich granicy..."

* * *

Takim przemawia do nas głosem popularny szermierz postępu rosyjskiego. Przemawia, jako szczery patrjota swego kraju i niemniej szczery przyjaciel Polaków. I to jego stanowisko wyłącza z naszej strony wszelki uśmiech kostyczny. Wszak „środki nieszczęść wewnętrznych narodu rosyjskiego" są zarazem środkami naszych nieszczęść, zaś system „pogwałceń formalnych jego prawa" tu się przeważnie kultywuje, tu się rozwija, tutaj osiąga skończony kształt doskonałości...

Po tym, co powyżej powiedziano, niema już chyba miejsca na złośliwe względem „kadetów" insynuacje, że jakoby sztandaru swego odbiegli i z przyjaciół — wrogami nam się stali.

Można nie podzielać zapału i wiary Rodiczewa, można krytyczniej oceniać siły i zdolności rosyjskich

żywiołów postępowych, ale nie można zarzucać im zdrady, ani dwulicowości wobec naszej sprawy. *Gazeta Warszawska* szerzyła w narodzie polskim kłamliwe wieści o „kadetach". Są to ludzie, których wysoka kultura polityczna i właściwy pogląd na potrzeby rozwojowe Rosji — kojarzy harmonijnie interes własnego kraju z ideą autonomji polskiej. I to powinno być dla nas sprawdzianem wyłącznym i dostatecznym.

Samorząd ziemski dla Królestwa Polskiego.

I.

Frakcja październikowców zapragnęła obdarzyć Królestwo Polskie samorządem ziemskim. W pobudki polityczne tej „wspaniałomyślności" nie wnikamy. Chodzi nam tylko o samą istotę rzeczy. Więc przedewszystkim, jaki to będzie samorząd i na jakich podstawach ma być oparty? Październikowcy proponują zastosowanie do Królestwa Polskiego ustawy o ziemstwach z dnia 24 czerwca 1890 r., z przystosowaniem jej do warunków miejscowych. Zajrzyjmy więc do tej ustawy, która ma być wzorem dla Królestwa Polskiego: Otóż ustawa o ziemstwach z r. 1890 wogóle pozostawiła tę samą kompetencję ziemstw, jaka była w r. 1864, ale wprowadziła bardzo ciężkie ograniczenie przez określenie normy podwyżki podatkowej na rzecz ziemstw w ciągu jednego roku nie wyżej, niż na 3 proc. Ustawa ta wprowadziła także nieznaną przedtym instytucję biurokratyczną: „gubernjalny zarząd spraw miejskich i ziemskich (*Gubernskoje po ziemskim i gorodskim dielam prisutstwje*). Roztacza ona opiekę nad ziemstwami i krępuje ich działalność. Wogóle zaś ustawa z r. 1890 wzmocniła kontrolę władz administracyjnych nad ziemstwami tak dalece, iż aparat biurokratyczny może zupełnie ubezwładnić i wstrzymać wszelką pracę ziemstw za pomocą cyrkularzy, rozporządzeń a nawet stanowczego zakazu.

Według ustawy z r. 1864, podczas wyborów ziemskich szlachta uczestniczyła w powiatowym lub miejskim zjeździe wyborczym, w którym brali udział wszyscy, posiadający określony cenzus majątkowy, bez różnicy stanów, a więc szlachta, włościanie, kupcy i duchowieństwo. Według zaś ustawy z r. 1890-go, szlachta otrzymała swoje specjalne zebrania wyborcze, i dzięki temu, zdobyła znaczną przewagę w zgromadzeniach powiatowych a olbrzymią przewagę w gubernjalnych zgromadzeniach ziemskich. [1]) Dawniejsze włościańskie zjazdy wyborcze skasowano. Wybory włościańskie odbywają się w zgromadzeniach gminnych — jeden kandydat od każdej gminy, czasami dwuch, stosownie do ilości gmin. Żydów i duchowieństwa całkiem pozbawiono prawo głosu a drobni właściciele dla udziału w wyborze pełnomocników muszą posiadać nie jedną dwudziestą, ale jedną dziesiątą część określonego dla powiatu cenzusu. Tym sposobem liczbę wyborców zmniejszono na niekorzyść osób mniej zamożnych. Nadto, prócz szlachty dziedzicznej, prawo udziału w kurji szlacheckiej, z przywilejem równego prawa głosu, otrzymała tak zwana szlachta osobista (*licznyje dworjanie*), rekrutująca się przeważnie z biurokracji niższego rzędu, posiadającej cenzus.

Według tedy ustawy z r. 1890-go, wybory odbywają się w ten sposób, że szlachta dziedziczna i osobista ma swój zjazd specjalny, a włościanie, mieszczanie i kupcy posługują się także swoimi zjazdami odrębnymi. Dla każdej z tych trzech kategorji istnieje określona według powiatów liczba radnych, którzy wogóle we wszystkich powiatach w porównaniu z rokiem 1864 znacznie zmniejszono. Stosunkowo najwięcej zmniejszono liczbę radnych od włościan, gdy natomiast stosunkowo zwiększono ich liczbę od szlachty. Według zestawień p. J. Folejewskiego, po wprowadzeniu nowej ustawy, liczba radnych od szlachty zwiększyła się o 15 proc., liczba zaś od włościan zmniejszyła się o 8 proc. Szlachta ma zapewnioną w ziemstwach z góry większość (57 proc. przeciwko 43 proc.) To też radny nieszlachcic, o ile nie jest pożądany dla szlachty, nigdy do zgromadzenia gubernjalnego dostać się nie może.

Na zasadzie nowej ustawy z r. 1890, przed włościanami prawie zupełnie zamknięto wstęp do ziemstw, ponieważ radni włościańscy musieli być mianowani przez gubernatora. Ziemstwa tedy stały się wyłącznie szlacheckimi.

Na głównych podstawach tego prawa, październikowcy opierają swój projekt ziemstw dla Królestwa Polskiego. W streszczeniu tak on brzmi: 1) w gubernjach: Kaliskiej, Kieleckiej, Lubelskiej, Łomżyńskiej, Piotrkowskiej, Płockiej, Radomskiej, Siedleckiej, Suwalskiej i Warszawskiej zaprowadza się społeczny samorząd ziemski. Kompetencję ziemstwa, zakres jego władzy i działalności, oraz organizację rad ziemskich gubernjalnych i powiatowych określa się stosownie do obowiązującej ustawy o ziemstwach gubernjalnych i powiatowych i o urzędach ziemskich z dnia 24 czerwca 1890-go roku. 2) Zgromadzenia i zjazdy wyborcze opierają się na zasadzie bezstanowej. 3) Część radnych powiatowych obierają zebrania gminne, resztę — zgromadzenia wyborcze. 4) Cenzus majątkowy, dający prawo uczestnictwa w wyborze radnych powiatowych, określają oddzielne przepisy. 5) W radach gubernjalnych i powiatowych przewodniczą prezesi, obierani na trzy lata przez te same rady z pośród ich członków. Prezesów rad gubernjalnych zatwierdza władza Najwyższa, prezesów rad powiatowych — minister spraw wewnętrznych. 6) Miasta Warszawa i Łódź stanowią odrębne całości ziemskie z prawami rad powiatowych. 7) Za każdorazowym zezwoleniem generał - gubernatora warszawskiego, ziemstwa gubernjalne mogą łączyć się w związki, gwoli przeprowadzeniu takich zarządzeń z zakresu swej działalności, których wykonywanie dla poszczególnych gubernji okaże się uciążliwym. 8) W biurowości wewnętrznej instytucji ziemskich oraz w „rozprawach słownych" na posiedzeniach ziemstw dozwala się używać języka polskiego. 9) Obowiązki komisji gubernjalnej pełni w Warszawie komisja do spraw samorządu Królestwa Polskiego pod przewodnictwem generał-gubernatora warszawskiego lub jego pomocnika. Do komisji należą zarówno przedstawiciele rządu jako też delegaci ziemstw.

Październikowcy są o tyle łaskawi, że wprowadzenie ustawy z r. 1890-go do Królestwa bez zmian uważają za niewłaściwe i widzą potrzebę „przystosowania" jej do warunków miejscowych. Przedewszystkim tedy każą pamiętać, że niema u nas zgromadzeń szlacheckich i że gmina wiejska, posiadająca pewne cechy samorządu, jest wszechstanowa. Należy więc bezstanowość utrzymać i odpowiednio tworzyć zgromadzenia oraz zjazdy wyborcze. Projektodawcy zalecają, aby w wyborach do ziemstw obok właścicieli ziemskich i przedstawicieli miast, uczestniczyły gromady wiejskie. „Bez tego, włościanie, posiadający z osobna szczupłe nieruchomości, mogliby być zupełnie odsunięci od udziału w ziemstwach. Na powierzenie zaś wyboru radnych powiatowych wyłącznie zebraniom gminnym niepodobna się zgodzić, gdyż zamknęłoby się dostęp osobom, nie biorącym czynne-

[1]) Patrz: „O samorządzie ziemskim na Litwie i Białejrusi" — Józefa Folejewskiego i Tadeusza Wróblewskiego.

go udziału w sprawach gminnych, ale pomimo to mogącym z pożytkiem pracować w ziemstwach powiatowych".

„Ponieważ w gubernjach Królestwa Polskiego niema marszałków szlachty z wyborów — mówią dalej projektodawcy — którzy w gubernjach wewnętrznych przewodniczą z urzędu zgromadzeniom ziemskim, sądzimy przeto, że najwłaściwiej będzie, ażeby rady gubernjalne i powiatowe w Królestwie Polskim same obierały sobie prezesów ze swego grona".

Mały obszar Królestwa oraz charakter i kosztowności niektórych urządzeń, jak np. ubezpieczenia, skłaniają projektodawców do wniosku, aby ziemstwom gubernjalnym przyznać prawo zrzeszania się dla wspólnego załatwiania potrzeb poszczególnych. Ze względu również na mały obszar Królestwa. projektodawcy, zamiast dziesięciu komisji, proponują jedną wspólną dla całego Królestwa komisję do spraw samorządu ziemskiego. Dla powiatów gubernji Siedleckiej i Lubelskiej, zamieszkanych przez „włościan rosyjskich", trzeba wydać odrębne przepisy, zabezpieczające prawa Rosjan. Należy to uczynić przy opracowywaniu szczegółowym przepisów o wyborach.

„Na pozór zdawać się może — mówią projektodawcy — iż z zaprowadzeniem rad powiatowych i gubernjalnych należy zwinąć odrębny samorząd gminny. Nie chcemy jednak tego *na razie*, albowiem Duma opracowywa ogólny projekt reformy urządzeń wiejskich, należy więc poczekać na nowe prawo. W przeciwnym razie mogłoby wyniknąć, że jednostka ziemska w gubernjach wewnętrznych i w gubernjach Królestwa Polskiego opierałaby się na odmiennych zasadach, co chyba nie byłoby prawidłowe".

Projekt październikowców niewiele się różni od poprzednich projektów rządowych i śmiało można go nazwać prawem ziemstw ograniczonych. Już przed kilku laty, kiedyśmy tonęli w obłokach złudzeń autonomicznych, bardzo szeroko rozprawiano u nas o samorządzie ziemskim dla Królestwa Polskiego. Dyskusje odbywały się w instytucjach społecznych, jak w wydziale ludowym Towarzystwa Higjenicznego oraz w sekcji rolnej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Wtedy to właśnie na ową gminę naszą zapatrywano się trochę inaczej, niż październikowcy; uważano ją jakgdyby za protoplazmę samorządu ziemskiego, nawet więcej, bo za gotową już, wyrobioną i doświadczoną jednostkę samorządną. Podczas tych obrad mówił ówczesny prezes sekcji rolnej, Stanisław Chełchowski: „Dla czegóż instytucję, ustaloną 40-letnią działalnością, mielibyśmy wyłączać z łańcucha urządzeń samorządnych? Gmina daje możność bezpośredniego oddziaływania na szersze warstwy, daje pole do pracy u podstaw, pozwala dokładnie wysłuchać głosu w każdej sprawie licznych sfer ludności. Spółdziałanie w zakładaniu i zawiadywanie instytucji kooperacyjnych, tworzenie stacji reproduktorów, ubezpieczenie inwentarza od chorób zaraźliwych tylko w ramach gospodarstwa gminnego mogą się rozwijać. Gmina może uchronić i zabezpieczyć organizację samorządu od ducha urzędniczo-biurokratycznego, dać możność zetknięcia się z życiem, wyczucia jego wymagań i potrzeb". Dla powodzenia pracy w gminie mówca zalecał dokonać dokładnego rozdziału atrybucji policyjno-administracyjnych od gospodarczych, pozostawiając pierwsze w ręku wójta a drugie dzieląc śród członków zarządu gminy. Radził także ograniczyć tę zależność i zbyteczną kontrolę władz administracyjnych, która przez 40 lat nie pozwalała gminie wyjść dalej poza granicę organu administracyjnego i oczyścić z naleciałości zwyczajowych, które samowola ustaliła.

Podczas rozpraw nad samorządem w Towarzystwie Higjenicznym Warszawskim również uznano, że utrzymanie gminy, zwolnionej od zwierzchnictwa i kontroli władzy administracyjnej, jest warunkiem nieodzownym. Dr. Polak sformułował wówczas swoje postulaty co do gminy w punktach następujących: 1) Zachowanie gromady wiejskiej i gminy obecnej — wszechstanowej. 2) Jaknajszersze prawo opodatkowywania się gminy.

Wogóle sprawa samorządu ziemskiego, przedyskutowana u nas przed pięciu laty, z powodu projektu rządowego dałaby się zamknąć w obszernym dziele, wszechstronnie wyświetlającym zasady i warunki reformy. W rozprawach tych brali udział ludzie z różnych obozów, nadto rzeczoznawcy z różnych dziedzin życia naszego. Warto więc chociaż pobieżnie rzucić okiem w tę przeszłość niedaleką i przypomnieć, że już wtedy byliśmy przygotowani do przyjęcia reformy, ale w innej postaci niż ta, jaką nam ofiarowuje frakcja październikowców.

Zenon Pietkiewicz.

O wychowaniu i nauczaniu.

IV.

Zastanawiając się nad celami nauczania, uświadomić sobie należy, że obecne współzawodnictwo między narodami, jest walką na technikę i oświatę tak dalece, że nawet losy... wojny dziś wyłącznie prawie zawisły od umysłowej i wojennej kultury żołnierza i od techniki, nietylko wojennej ale i cywilnej.

Kraje, gdzie technika jest nizka, gdzie nic, lub nie dosyć się robi dla jej podźwignięcia, gdzie robotnika do fabryki przykuwa zamaskowane niewolnictwo, gdzie życie gospodarcze jest zdezorganizowane i pustoszone walką klasowych i narodowościowych egoizmów, są tylko z pozoru niezależne i niepodległe choćby się nadymały aż do pęknięcia i wystawiały niezliczone chmary żołdactwa.

Kapitał, praca, inteligencja, technika, handel, są to dziś czynniki bojowe, które podbijają kraje i narody wcześniej, niż rozprawa wojenna temu dokonanemu podbojowi nada widomy obraz i sankcję. Wszelako wszystkie te czynniki dla swego rozkwitu wymagają takiej organizacji politycznej i takiego szkolnictwa, które się nie mieszczą w ramach dahomejsko-chińskich ideałów; przeto narody, którym te ideały nadmiernie smakują, własnoręcznie podpisują na siebie wyrok śmierci,

Wykształcenie ogólne już dlatego samego nie może być przedmiotem troski w nauczaniu szkolnym, że przy istnieniu odnośnej literatury jak najzupełniej się mieści w ramach samouctwa dostępnego na każdym miejscu, dla każdego wieku, dla każdej płci i zawodu. Nauczanie jako składowa część wychowania, musi zwracać się w stronę wymagań ochrony bytu. Nie może ono zrywać łączności z życiem i spuszczać z oka wymogów tego życia.

Byt zaś ten zawisł w pierwszym rzędzie od umiejętności wytwarzania dobra materjalnego w drugim rzędzie od szeregu bioutylitarnych wyobrażeń i ustrojów, jakie przenikają dane społeczeństwo. Chcąc być uzdolnionym do życia, należy umieć wytwarzać i doskonalić jedno i drugie t. j. dobra materjalne i moralne. Ponieważ uzdalnianie do wytwarzania dobra moralnego nie może być przedmiotem umiejętności, może zaś być tylko koroną długoletniego wychowania, syntezą wieloletnich, tysiącznych zabiegów wychowawczych, jeżeli nie wrodzonego daru, przeto nauczanie zająć się może tylko uzdolnianiem do wykonywania praktycznych zawodów, początkowo prostych i łatwych, następnie coraz trudniejszych i mozolniejszych. Zawodowość w kształceniu powinna rozpoczynać się prawie od pierwszego nauczania, jeżeli ma dochodzić do mistrzostwa, jak tego współzawodnictwo wymaga.

Porzucić w tym razie należy przechodzenie od teorji do praktyki, wytwarzającą rezonujących niedo-

łęgów, lecz odwrotnie obrać tu trzeba drogę przechodzenia od praktyki do teorji wytwarzającą małomównych wykonawców. Trzeba się uczyć, robić i robiąc się uczyć, a nie zasklepiać się w rozmyślaniach o pracy wyobrażalnej.

Przy nauczaniu utrzymuje się w sile zasada Condillac'a „nihil est in intellectu quod non fuerat in sensu".

Kojarzenie wyobrażeń, logika, cała świadomość, poznanie, wszystko to zdobywa się doświadczeniem zmysłów. Wystarcza przyglądać się zabawom dzieci lub rękoczynom dzikich szczepów i ich dobytkowi, ażeby podziwiać, jak celowo pod względem mechanicznym radzą oni sobie w potrzebach, choć nie mają żadnego wyobrażenia ani o teoretycznej ani stosowanej mechanice. Zdolność tę posiedli oczywiście na drodze doświadczeń zmysłowych. Nauczanie, które nie pochłania i nie przemawia do wszystkich zmysłów uczącego się, jest nauczaniem powierzchownym, połowicznym i nietrwałym a raczej wcale nie jest nauczaniem a tylko je przedrzeźnia.

Dzięki nowym wynalazkom, zdobyto silne środki dla karmienia zmysłów przy nauczaniu. Dzięki gramofonom, fotoplastykonom, kinematografom, zbiorom muzealnym, zwierzyńcom i t. p. zasobom pokazowym, można w obrębie zabudowań szkolnych gromadzić kształty, barwy, dźwięki, ruchy, rozlegające się na całym obszarze kuli ziemskiej, odtwarzać obrazowo wiele czynności, wymykających się spostrzeganiu z powodu tych lub owych niepokonanych trudności.

Chcąc uzdolnić człeka do walki o byt, nauczanie nietylko powinno od najwcześniejszej młodości wdrażać i przyswajać wychowańcowi tę lub ową lub też kilka umiejętności. Musi ono jeszcze rozwinąć w nim przymioty umysłowe, potrzebne w każdym położeniu życiowym. Takimi przymiotami są: pamięć, uwaga, spostrzegawczość, pomysłowość, żywość plastycznej wyobraźni, zdolność kombinacyjna. Dla kształcenia pamięci służy cała mnemotechnika. Pamięć dźwięków można ćwiczyć przez pamięciowy śpiew i muzykę, wreszcie przez naśladowanie szmerów i dźwięków, rozlegających się w otoczeniu. Pamięć kształtów można ćwiczyć przz pamięciowe rzeźbienie lub rysowanie. Uwagę rozwijać można przez rysowanie lub modelowanie z natury, coraz bardziej złożonych kształtów, albo też przez ćwiczenia sprawozdawcze, wywierające nacisk na coraz większą dokładność sprawozdawczą z coraz więcej złożonych spraw i wydarzeń. Spostrzegawczość dobrze się rozwija przez ćwiczenie się w kolekcjonowaniu okazów zwierzęcych, roślinnych, mineralnych, przez zabiegi łowieckie, zmuszające do wypatrywania ptaków, ryb, owadów lub innych zwierząt, ażeby złapać je w zastawione sidła. Pomysłowość kształcą zadania konstrukcyjne i zdobnicze. Plastyczną wyobraźnię rozwija geometrja wykreślna wszelkich systemów. Zdolność kombinacyjną rozwija gra w szachy, ćwiczenia strategiczne, planowanie ruchu pociągów i t. p.

Z tego ogólnego i pobieżnego szkicu daje się wywnioskować, że zakład wychowawczo-naukowy powinien, o ile możności, być zasklepionym w sobie miastem lub miasteczkiem, którego życie podporządkowane jest idei wychowania i nauczania młodego pokolenia. Kosztowność tak pomyślanego wychowania oczywiście jest duża, lecz najdroższe wychowanie, spełniające swe zadanie, zawsze bywa tanie — natomiast wychowanie, rozmijające się ze swym celem, zawsze będzie drogie, choćby kopiejkę tylko kosztowało, staje się bowiem klęską w życiu zbiorowym.

Szpon.

Listy z Galicji.

XVIII.

Nowe stronnictwo polityczne. Upadek gabinetu.

Przed kilku tygodniami odbył się we Lwowie zjazd postępowych demokratów, z rozmaitych miast kraju, na którym przyjęto program i utworzono zawiązek nowego stronnictwa. Kilkakrotnie, na łamach *Prawdy* wyrażałem pogląd, że chwila obecna w Galicji sprzyja bardzo powstanie nowego stronnictwa szczerze demokratycznego i postępowego i stwarza dla niego rozległe perspektywy rozwoju, ponieważ stare stronnictwa upadają i rozkładają się.

Nowe stronnictwo przybrało nazwę Polskiego Stronnictwa Postępowego (P. S. P.); program jego ogłoszony został w tygodniku *Życie*. Jest on stosunkowo najbardziej zbliżony do programu ludowców. Domaga się rozszerzenie autonomji krajowej, demokratyzacji sejmu i innych instytucji autonomiczno-samorządnych przez zaprowadzenie czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego, ochrony pracy, oświaty szerokiej, opartej na podstawach demokratycznych i t. p.

Program zawiera jeszcze jeden punkt bardzo ważny: żądanie autonomji kulturalnej i oświatowej dla narodowości uznanych w państwie. Postulat ten, należycie pojęty i spopularyzowany w społeczeństwie polskim, mógłby wpłynąć bardzo dodatnio na kształtowanie się stosunków polsko-rusińskich w Galicji. Wprowadzony zaś w życie w całej pełni spowodowałby niezawodnie, na długo, pokój narowościowy w tym kraju. Być może, że nie zadowoliłby wszystkich, niezawodnie jednak uczyniłby zadość potrzebom ogromnej większości Rusinów w Galicji i pozyskałby uznanie najpoważniejszych żywiołów z pośród nich.

W artykułach swoich w *Prawdzie*, drukowanych w roku zeszłym, wykazywałem właśnie, że autonomia kulturalno-narodowa Rusinów przy zupełnym ich równouprawnieniu politycznym z Polakami — stwarza grunt odpowiedni dla wszechstronnego i pokojowego rozwoju obu narodów w Galicji.

Zachodzi teraz pytanie, czy nowe stronnictwo będzie miało odwagę i chęć wystąpić z tym programem otwarcie, to znaczy: szerzyć go na zgromadzeniach publicznych, w prasie, w instytucjach autonomiczno-samorządnych i walczyć o jego zrealizowanie.

Pod tym względem niestety nasuwają się poważne wątpliwości.

Wprawdzie w czasach ostatnich *Wiek Nowy* pismo popularne, rozchodzące się w 35000 egzemplarzy, zaczęło pisać o Rusinach w duchu pojednawczym, co jest zasługą redaktora tego pisma p. Bronisława Laskownickiego, oraz p. Lewartowskiego jednego ó jego współpracowników. P. Laskownicki jest też członkiem P. S. P. Artykuły jednak w *Wieku Nowym* nie miały charakteru programowego i były zbyt ogólnikowe.

Życie wydawane przez kilku członków nowego stronnictwa, w czasie obrad sejmowych, podczas obstrukcji posłów rusińskich nie poświęciło ani jednego artykułu gruntownemu omówieniu sprawy rusińskiej w Galicji. A przecież jeżeli kiedy, to właśnie wówczas, kiedy prawie cała prasa polska w Galicji (z wyjątkiem socjalistycznej) nie mogła się wyzwolić z frazesów nacjonalistycznych najgorszego gatunku — powinno to było zrobić *Życie*.

Niektórzy członkowie nowego stronnictwa jak np. p. Hipolit Śliwiński znany radykał galicyjski, są zwolennikami programu autonomji kulturalno-narodowej dla Rusinów w Galicji. Wątpić jednak można czy ogół stronnictwa a nawet jego większość tylko, w poglądach swoich, szczerze stoi na gruncie tego programu. Prawdopodobnie w punkcie tym niema jeszcze między nimi zgody. Chciałbym się mylić w tym względzie...

Tymczasem stosunki polsko-rusińskie zaostrzają się ciągle i jest najwyższy czas zrobić coś dla ich złagodzenia. Odkładanie tej sprawy jest szkodliwe. Zdaniem moim P. S. P. powinno w szeregu zgromadzeń publicznych w całym kraju i w prasie (chociażby w *Życiu* i *Wieku Nowym*) — omówić obszernie stosunki polsko-rusińskie i wystąpić z programem autonomji narodowo-kulturalnej.

Powinno przedewszystkiem zażądać:

1) Utworzenia chociażby zawiązku odrębnego uniwersytetu rusińskiego, który obecnie musi być koniecznie we Lwowie;

2) Podziału istniejącej Rady Szkolnej krajowej na dwie: polską i Rusińską;

3) Podziału funduszów na cele kulturalno-narodowe pomiędzy dwa narody, wedle stałego klucza; (w roku zeszłym poseł Oleśnicki żądał aby dzielono te fundusze pomiędzy Polakami i Rusinami w stosunku 62 do 38).

4) Zwiększenia liczby mandatów rusińskich w przyszłej reformie wyborczej do sejmu;

5) utworzenia urzędów vice marszałka krajowego i vice namiestnika dla Rusinów.

Nowo utworzone stronnictwo znalazło silniejszy punkt oparcia na prowincji, niż w stolicy kraju. Podobno delegaci prowincjonalni, na zjeździe stronnictwa okazali się na ogół radykalniejszymi niż lwowianie.

P. S. P. ma pewną ilość radnych miasta Lwowa, okoliczność ta nie jest naturalnie bez znaczenia.

Możnaby wypowiedzieć jeszcze jedno życzenie oto: aby *Życie*, pismo stojące bardzo blizko stronnictwa, chociaż nie jego organ oficjalny, zajmowało się więcej bieżącymi sprawami Galicyjskiemi, a mniej fantastycznymi pomysłami, dotyczącymi przyszłej wojny europejskiej i ich spodziewanymi epizodami na terenie Królestwa. Życzenie to jest tymbardziej na miejscu, że obecnie zwłaszcza ta „Wielka Wojna", budząca u niektórych tyle nadziei — w obec rosyjsko-niemieckiego porozumienia — oddalać się zdaję w przyszłość nieokreśloną.

Jest cały szereg reform wymagających szerokiego omówienia w piśmie, dość wspomnieć np. reformę administracyjną, reformę dotyczącą dobroczynności publicznej i wiele innych, którymi *Życie* wcale się nie zajmuje.

W każdym razie, życzymi nowemu stronnictwu powodzenia i dlatego właśnie chcielibyśmy je widzieć takim, jakim być powinno, t. j. żywotnym, wrażliwym na różne niedomagania kraju i społeczeństwa i zwalczającym różne przesądy.

Koło Polskie zadało cios śmiertelny gabinetowi ministrów, a właściwie ministrowi skarbu p. Bilińskiemu, z powodu oporu jego przeciwko budowie kanałów.

Ta niezwykła, jak dla Koła Polskiego, postawa opozycyjna w obec rządu tłomaczy się tym, że opinja całego kraju jest za kanałami i że socjaliści wysunęli tę sprawę bardzo energicznie na porządek dzienny. Oprócz tych powodów ogólnych, były i inne, natury osobistej. W Kole Polskim, najwięcej przeciw ministrowi Bilińskiemu występowali konserwatyści, jak były minister finansów Korytowski, poseł Kozłowski i inni. Korytowski jest antagonistą Bilińskiego. Posłowie Górski i Kozłowski wysuwają się naprzód i mają nadzieję zająć wybitne stanowiska.

Obaliwszy gabinet Bienertha Koło Polskie przestraszyło się samo swojego czynu. Chcąc się pozbyć Bilińskiego, a poczęści i Dulęby ministra dla Galicji nie miało zamiaru rozstawać się z prezesem ministrów, który jest konserwatystą starego autoramentu i nieprzychylny względem Rusinów.

Koło Polskie, boi się natomiast przyjścia do władzy barona Gautscha, świeżo odznaczonego przez cesarza, oraz ks. Hohenlohego, ludzi bardzo nowożytnych, skłonnych do przeprowadzenia reform demokratycznych i do popierania Rusinów. Tem się też tłomaczy chęć utrzymania Bienertha w nowym gabinecie. Być może, że cesarz powierzy mu utworzenie nowego rządu. Rozstrzygnie się to już po świętach.

W nowym gabinecie Polacy mają mieć, prócz ministra dla Galicji jeszcze jednego, ale nie finansów. Przypuszczają, że p. Głąbiński zostać może ministrem kolei żelaznych, a p. Górski ministrem dla Galicji.

Prezesem Koła zostałby poseł Kozłowski, albo Starzyński. Są to konserwatyści najgorszego gatunku chociaż p. Kozłowski do tego się nie przyznaje.

Poseł Starzyński jest podolakiem, wrogiem zaciętym Rusinów. Poseł Kozłowski posiada dość rozległe wykształcenie polityczne i dużo niezależności wobec sfer wiedeńskich; jest jednak człowiekiem w najwyższym stopniu nietaktownym, działającym pod wrażeniem chwili, posiada też trochę sympatji neo-słowiańskich. Czy obalenie obecnego gabinetu jest równoznaczne ze zwycięztwem Polaków w sprawie kanałowej? Oczywiście że nie... Rozstrzygnięcie tej kwestji zależyć będzie, w stopniu znacznym, od stosunków międzynarodowych. Utrwalenie się pokoju ułatwi przeprowadzenie kanałów, zaostrzenie się zaś stosunków niemiecko-angielskich pchnie Austrję w kierunku dążenia do stworzenia silnej floty wojennej, która pochłonie wielkie środki i uniemożliwi budowę kanałów.

Ludwik Kulczycki.

BADANIA NAUKOWE.

Lew Tołstoj jako filozof.

(Dokończenie).

Przyrodoznawstwo nietylko rozszerza doświadczenie człowieka i wykrywa stosunki pomiędzy przedmiotami, których dawniej nie podejrzewano. Wykształca ono jeszcze w pewnym kierunku umysł ludzki. Przyzwyczaja do ścisłości, do liczenia się z warunkami, do brania pod uwagę wpływów drobnych, do oczekiwania blizkich skutków z danych przyczyn. Tego wszystkiego nie widzimy u Tołstoja ani śladu. Z drugiej strony ewolucja, jaką przebyła już filozofja, przyzwyczaiła ludzi do pewnej koncentracji myśli, do czystości pojęć, do ścisłej logiki wywodów. I tego nie znajdujemy u Tołstoja. Niektóre jego rozprawki, czytane w kole fachowych filozofów, robią wrażenie wprost zniechęcające. Rozwodnioność wykładu, obrazowość zamiast ścisłości, negowanie najpospolitszych już dzisiaj wyników krytyki naukowej tworzą z nich dzieła, w których tegocześni uczeni skłonni są widzieć „moment filozoficzny w bardzo słabym stopniu".

Weźmy jako przykład oś teorji Tołstoja, zasadę nie sprzeciwiania się złu. Zupełnie z tym się zgadzając, że walka ze złem służy do jego rozmnażania, bo z kolei powoduje reakcję ukaranego, nie możemy na to zamykać oczu, że odruch jest podstawową cechą żyjącego organizmu. Gdzie niema refleksów, tam niema i życia. To, co wyraża się już u żaby, pozbawionej mózgu w cofnięciu łapki przy podrażnieniu jej roztworem kwasu siarczanego, to potęguje się u człowieka i wyłania w życiu społecznym w szeregu instytucji zapobiegawczych i karnych. Co innego, że instytucje te nabierają cech zemsty za zło, że walka ze złem zaczyna więcej zajmować miejsca w życiu ludzkości, niż proste rozwijanie dobra, że jest w tym wszystkim nadmiar i zwyrodnienie! Pod tym względem krytyka Tołstoja rzeczywiście trafia w sedno rzeczy. Ale fakt

pozostaje faktem: żyjąca istota nie może nie cofać się przed doświadczeniem bólu fizycznego, czy moralnego. Stąd to właśnie i wyrasta sprzeciwianie się złu. Jeżeli znajdują się jednostki, poszukujące cierpienia dla przewidywanego społecznego lub własnego dobra, to jednak ogół zawsze musi dążyć do zabezpieczenia siebie od możliwości bólu. O tym to zasadniczym związku życia z protestem przeciw cierpieniu, Tołstoj zdaje się zupełnie zapominać. Nie dba on również o to, że przekonania moralne w wolniejszym rozszerzają się tempie, niż skutki fizycznej przemocy i że zupełna zagłada grozi wyznawcom moralności absolutnej.

Tołstoj nie rozumie wogóle potrzeby obrony życia, nie pojmuje złożoności fizjonomji moralnej człowieka, tego całego wysiłku, który zachodzi w jego duszy wskutek dążności do utrzymania moralnej wytycznej przy szeregu niezbędnych dla życia kompromisów, ani tragizmu, który tkwi w tej najsamotniejszej z walk wewnętrznych ludzkiej jednostki. Tołstoj stawia nakaz kategoryczny i żąda, aby życie przystosowało się do niego. Z jego punktu widzenia jest to możliwe, bo życie to dla niego dusza wolna i sama siebie określająca.

Sam postulat: „Nie sprzeciwiaj się złu", nie został też bliżej zdefinjowany. W istocie, co to znaczy: nie sprzeciwiać się złu? Filozof musi tu żądać ściślejszego zdeterminowania. Czy sprzeciwianie się to jest tylko akt gwałtu? Przecież dobry Samarytanin, obwiązując rany podróżnika, sprzeciwiał się zbójcom? Czy nie sprzeciwianie się dotyczy tylko czynów fizycznych, a nie intencji przestępców? Szerząc np. oświatę, kiedy źli ludzie chcą ciemności, — sprzeciwiam się ich woli. Gdzie tu więc są granice, i jak trudno je wyznaczyć! Bowiem dobro już jest walką ze złem i występuje to jeszcze bardziej na jaw w instytucjach społecznych, niż w życiu indywidualnym. Czy też może Tołstoj ma na myśli nie oszczędzanie siebie w walce o dobro? Nie bronić się, o ile nas męczą osobiście? Bo przecie chyba trzeba nawet siłą bronić człowieka, zabijanego na drodze?

Tołstoj nie wchodzi wogóle w bliższe detale. Dla tego też jego absolutne zasady, tak są oderwane od rzeczywistości, że dla ludzi tegoczesnych, nawykłych do myśli pozytywnych, tracą one niemal wartość. Pogląd nowy, w zasadzie prawdziwy, tak jest nieprzystosowany do życia, że wygląda na prosty „morał", który leży już poniżej tegoczesnej kultury intelektualnej. Widzieliśmy jednak, że tak nie jest. Przeciwnie, myśl jego jest bogata i płodna, ale musi się ona zmodernizować, nim zacznie wpływać na sfery kulturalne.

Być może, że uświadamiał to sobie sam Tołstoj, ale naprzód z powodu budowy swego umysłu, potym z powodu dążności do wpływu właśnie na szerokie masy ludowe. nadawał sobie cechy raczej proroka i kapłana, niż uczonego filozofa. Im dalej postępował w życiu, tym bardziej przyjmował charakter kapłański w swych pismach. Jego niektóre rozprawki, np. „O miłości", są właściwie kazaniem. Coraz bardziej też w nim wzrastała dążność do wyciągania wniosków bezwzględnych ze swych założeń. Skoro wygląda, że wobec urzeczywistnienia takich zasad, upadnie życie, to niech upada! Rozmnażanie się np., związane jest z chucią, z popędem cielesnym, jest więc grzechem. Bez rozmnażania się zniknie jednak ludzkość. A więc niech ginie!

Ogromną wartość, jaką nadawał Tołstoj artysta życiu w jego najbardziej bezpośrednich objawach i popędach, intuicji, instynktach, — wszystko to uważa za nic późniejszy Tolstoj — kapłan. Jest to typowy „Święty".

Grzechy jego, za młodu popełnione, być może nie są na jotę większe od przeciętnych. Ale siła jego wyrzutów sumienia niezrównanie jest potężniejsza. Zamiast przejść nad niemi do porządku i urządzić sobie życie spokojne, oparte na kompromisach, lub jak to bywa w razach ostrzejszych zakończyć swój byt kulą w skroń, Tołstoj nie zna spokoju. Te stany duchowe rozrastują się u niego w olbrzymie szeregi myśli. Odpowiedzialność moralna gniecie go do końca życia. Potrzeba podniesienia się z grzechu, t. z. *odrodzenia się*, nie opuszcza go aż do śmierci. Ztąd wyrasta potężne uczucie przepaści w naturze ludzkiej, otchłani między grzechem i świętością. Materja ciało, — to źródło grzechu, — duch to źródło dobra. Wszystko jest słuszne, co wiedzie do podtrzymania moralnej strony życia, a bezcelowe to, co służy czemukolwiek innemu. Grzech czyha wszędzie w związkach rodzinnych, w uczuciu klasowym, w popędach miłosnych, w upodobaniu do istot do nas podobnych, w różnicowaniu się ludzi wedle grup społecznych, — a przedewszystkiem w bogactwie. „Tołstoj to nasze sumienie", mówią o nim Rosjanie. Tołstoj to bezlitośny krytyk całego bytu tegoczesnego człowieka, — ale krytyka jego oparta jest na pojęciu bytu, jako złożonego z dwuch zasadniczo sprzecznych i w istocie swej różnych pierwiastków: zła i dobra.

I pod tym względem stoi Tołstoj na skrajnie różnym punkcie widzenia od całej tegoczesnej inteligencji. Jego stanowisko wobec zła jest zasadniczo sprzeczne z tendencją nowożytną do uduchowienia całego życia fizycznego człowieka we wszystkich jego objawach. „Nie ma grzechu w materji",—mówi człowiek tegoczesny, „bo w materję tę tchnąłem ducha". Materja jest wrogiem ducha", mówiTołstoj. Ztąd też nie pojmuje on całej kultury Zachodu, nie rozumie tego nasiąkania myśli i uczuć do wszelkich funkcji fizycznych, do materjalnego układu życia. Znany jest fakt, że Europa wywarła na Tołstoja wbrew odpychający.

Wiele ludzi uważa Tołstoja za głębokiego konserwatystę. Powołują się oni na Tołstojowską krytykę kultury i jego nastroje religijne. Inni znów, mając na oku jego krytykę państwowości, traktują go, jako anarchistę.

Właściwie jest on postępowcem, ale tego rodzaju, jakiemi bywali Prorocy w Izraelu. Ma on na widoku tylko moralność człowieka, tylko ona go obchodzi, bo w niej widzi „sens życia". Dla pełnej moralności zaś trzeba najszerszego pola swobodnej działalności ludzkiej, najmniejszego skrępowania ruchów jednostki, — i dla tego Tołstoj jest także przeciwnikiem państwa. Nie wierzy on, aby polityka, organizacja społeczna, nauka, Kultura mogły przekształcić człowieka i skierować go ku dobru. Wszystko to więc jest bezużyteczne. Pod tym względem Tołstoj w naszej epoce jest niemal unikatem. Cała nasza kultura usposabia do tego, aby czynnikowi moralnemu nadawać podrzędne znaczenie w rozwoju społeczeństw. Tołstoj przeciwnie widzi i uznaje tylko ten jeden czynnik. Jest to jeden z tych wielkich mistrzów społeczeństw, których wydawała ludzkość już przed wiekami i którzy starali się wieść ją ku dobru wtedy, kiedy nie istniała jeszcze żadna wiedza przyrodnicza, żadna nauka o państwie.

Ludzie tacy zawsze byli rzadkością, i były to osobniki potężne. Czy mylili się nawet ci z nich najmocniejsi duchem, czy wisiłki ich były nadaremne? Czy Hamurabi, idealista. piszący swój kodeks przed czterema tysiącami lat w tym celu, aby zasłonić przed uciskiem słabych i biednych, napróżno tracił swą pracę? Czy Mojżesz, wpływając swemi przepisamy na moralność ludzi, nie osięgnął zgoła zamierzonego celu? Czy wszyscy twórcy sekt, budzących moralność rzucali swe wysiłki w przepaść zupełnie głuchą?

Któż wie, dla czego dzisiaj, pomimo wszystko, świat jest taki, jaki jest, a nie gorszy? Dla czego jest źdźbło dobra w każdym człowieku? Dla czego nawet występek, aby mieć powodzenie, musi udawać cnotę? Nauka nie zaszła tak daleko, aby mogła wyjaśnić siłę

wpływów moralnych na byt ludzkości. Wszelkie twierdzenia w tej kwestji są przedwczesne.

Dzisiaj stanowisko moralisty jest tak zdyskredytowane, że trzeba nadzwyczajnej prostoty ducha, niesłychanej serdeczności stylu, ażeby odważyć się przemawiać w sprawie moralności. Tołstoj jednak zdołał uzyskać posłuch u współczesnych. O szczerości i czystości jego zamiarów niema dziś powodu wątpić. Umarł on, dążąc do lepszego życia. I tu wystąpiło na jaw jego pokrewieństwo z przeszłością. Jak starcy bramińscy chciał on opuścić przed zgonem bogactwo, sławę, związki rodzinne i żyć w ciszy ze swoim bogiem. Piękna śmierć jego daje świadectwo prawdzie jego słów.

J. Kodisowa.

LITERATURA i SZTUKA.

Syn Marnotrawny. 5)

(fragment groteskowy).

Raz na dzień dwuch zbirów w maskach zjawiało się z pochodniami i w głuchym milczeniu karmiło go jak niemowlę. Wśród cierpkiego poniżenia, męki napastliwej od skrępowania beczką, dręczyły go gorączkowe przewidywania — obawa, że królowa zemści się na Jolancie. Głucho i ciężko stąpały w ponurym milczeniu nogi zbirów, przesuwano coś i ustawiano... Kroki milkły, tryskało światło. Widział drugą beczkę i głowę Jolanty w krezie. Przerażone oczy otwarte, matowe... Zaglądał w nie, dotykał ich duchem, błagał pieszczotą, by zmartwychwstały. Świat spływał w chmurę kałem brzemienną. Rozprzężone nerwy wylewały rozpacz we łzach dziecinnych...

* * *

Z wieży, w której siedział Syn Marnotrawny (dzięki łaskawości królowej, która poleciła go pewnego dnia uwolnić od ciemnicy i beczki) widać było zamek królewski, katedrę, plac municypalny. „Cóż to za styl piękny — myślał Syn Marnotrawny. — Katedra pełna uroku i charakteru. Święci chylą się z dzwonnicy nad miastem z wielką dobrocią. A te pałacyki, tonące w gąszczach ogrodów, które teraz na jesieni — tak cudnie płoną — szmaragdem, czerwienią, złotem. Od źródła, skąd dzień i noc bije z paszczy delfina zimna jak lód woda, odchodzi dziewczyna ze dzbanem. Jak wdzięcznie się przegina: Włosy jej jaśnieją! (Gdyby tak księżniczka choć na chwilę się ukazała!). Wszyscy są spokojni i szczęśliwi prócz mnie. Tak pomyślałem. I choć wiem, że tak nie jest, z głębi mej istoty podnosi się głos, który szepcze: tak, wszyscy są szczęśliwi oprócz ciebie, o tobie tylko zapomniano. I mimo wszystko wierzę temu głosowi".

* * *

„Szczęścia, głupiego szczęścia chciałem w życiu. Czyż niema nic szlachetniejszego nad marny szych fortuny i uśmiech szczęśliwości. Nie wzniosłem się ponad codzienność! Nie przeżyłem ani jednej godziny, którąby ogniem wytrawiła wszelką tymczasowość serca. Chiałbym życie zacząć na nowo"...

Widział siebie małym chłopcem. Biegał po dziedzińcu ojcowskim, gdzie sterty złożonych desek tworzyły korytarze, które stały w cieniu (jak zmierzch kościołów!) lub kąpały się w jaskrawości słonecznej. Deski żółtawe jak słoma, pachniały żywicą. Zwinne pająki biegały tam na olbrzymich nogach i kwitły ślazy różowe. Gdyby przeżyć raz jeszcze cichą godzinę dzieciństwa, wolną od niepokojów, niezmąconą męczarnią czarnego jutra! Gdyby można raz jeszcze przejść takim z desek korytarzem!...

Potym przychodziło wspomnienie Eufrozyny...

...Na progu groźnego losu nie będę spotwarzał twych darów... Dziś widzę cię, jak żywą... Leżałaś raz na posadzce... Niemal ciemno było w pokoju. Modliłaś się: „Boże, daj mi życie pełne rozkoszy i blasku! Otocz mnie szczęściem, jasnym przepychem... Przenieś mnie do dalekiego cudnego miasta, w przedziwny ogród, w raj niewyśniony! Niech serce me kipi miłością nieustanną! Daj, niech będę zawsze z uniesieniem kochana. Zapomnieniem osłoń, co było smutkiem w przeszłości. Daj szczęście, jakiegoś nie dał nikomu dotąd, Panie! Tyś Bóg—Ty możesz"...

Dotknąłem twego ramienia. Wstałaś, Eufrozyno... Nigdy nie zapomnę twych oczu — tak wielkie i gorejące były w owej chwili. Krzyknęłaś: „To ty, mój ukochany, ty przyszedłeś... tak cicho?... Nie puszczę ciebie nigdy... Zostaniesz tak nazawsze, pogrzebany w mych ramionach!

O dzięki ci za upojenie rozkoszą! Dzięki ci za to, że szyję moją otoczyły twe białe radosne ramiona! Dzięki za ciało, które z tak szatańskim humorem śmiało się w pianach żądzy! Ciało piękne i imponujące, które tak gorąco kochało szczęście zmysłów! Szmery gałązek, kąpanych w słońcu, wstającem na nowo, i trącających w szybę, przejmowały twe serce tajemniczym uniesieniem! Perłowy śmiech radości wybiegał nagle z twych ust! Spałem tak błogo na twej piersi, jak na brzegu rzeki złocistej. Mądre gwiazdy patrzyły spokojnie na moje upojenie! Dzięki ci za grzech i pożar! Twym cieniem była królowa... Przez tęsknotę ku grzechowi twemu upadłem w jej ramiona!"

* * *

Kiedy miał dosyć wspomnień, wybiegał myślą w jutro niespokojne, widział plac swej kaźni. Okna lśniły jaskrawo. Strome dachy stolicy czerwone były jak krew. Amfiteatrem zasiedli przed rusztowaniem arystokracja, mieszczanie, nierządnice, lud. Królowa siedziała w gronostajach i małej koronie, Obok niej młody rumiany mężczyzna — nowy kanclerz państwa. Przygniatał go ciężar tłumu, ciężkiego chaosu, który głucho łaknął śmierci. Kobiety czekały w podnieceniu, a gdy stojący za niemi mężczyźni ściskali im dłonie ukradkiem, wzdrygały się, gotowe krzyczeć z niecierpliwości i bryzgnąć łzami, gdyby egzekucję odłożono.

Dziwne aktorstwo ludzkie broniło mu śmierci w milczeniu. Miał słów pełne gardło. Trzymane wewnątrz, rozbiegały się po żyłach kłuły jak igły. Więc stawał na szafocie i przemawiał:

— Posłuchajcie mnie, ludzie. Byłem zły. Trawiłem marnie godziny, marnotrawiłem życie. Dałem się opanować pożądaniom małym, odsunąłem na bok wzniosłość, zdusiłem cierpliwą szlachetność, obudziłem zbyt późno tęsknotę gorącą i namiętność rzetelną. Dziś ginę. Czuwajcie, abyście nie zginęli jak ja. Mnie śmierć zagraża, wam niebezpieczeństwo inne — życie. Wiedźcie, że każda godzina jest otchłanią, z której wynijść może mądrość najwyższa, dobroć najpodnioślejsza lub czarna nikczemność. Ani chwili nie marnotrawcie na to, by dręczyć innych. Podnoście upadłych, nie odbierajcie biedakowi słońca i wolności za własne wasze winy. Nie sądźcie również, że się niczego nie możecie nauczyć od żebraków, włóczęgów lub nierządnic, że jesteście wyżsi od nich w każdym calu. Nieszczęście nauczyło ich niejednej mądrości, której wam poskąpiła wasza szczęśliwość. W snach najpodnioślejszych nie bywacie może tak miłosierni, jak miłosierni bywają biedacy, grzejący w mrozy siarczyste swe chropowate, spracowane ręce przy ogniskach, rozpalanych na ulicach. Nieście więc w sobie pochodnię, rozpaloną wiecznie, nie dajcie się zepchnąć w mrok ani zmódz marnemu zgiełkowi mia-

sta, pożądań małostkowych i chciwości. Ginę w wierze, że się odradzam i zaczynam nowe życie, górniejsze niż to, którego teraz ostatnia wybija godzina.

* * *

O milcząca ceremonjo powstawania mirażów okrutnych! Ledwie kończył przemowę — już duch oszołomiony kazał mu zaczynać ją nanowo, to tu, to tam dodawać i przestawiać wyrazy, męczyć się czerwonym widzeniem słów, wyskakujących z ciemności jako prawdy niesłychane i ważne, i poddawać szyję uciskowi obręczy żelaznej.

Twarz skazańca okryła się głęboką bladością, oczy zamknęły. Kat zaczął kręcić śrubą i zaciskać żelazo. Oblicze delikwenta zalało się rumieńcem niby wstydem, zajaśniało czerwoną łuną krwi, zalśniło ciemnym granatem. O nieba, czyż niema nikogo na tym świecie, ktoby go wyzwolił, odepchnął brutalną łapę kata! Oczy rozwarły się, wysadziły na wierzch, jak dwie pięści rozpaczliwe, wołające pomsty, wyszły z orbit, jakby uciec chciały od pękającej od krwi twarzy! Usta rozdarte wywalały na wierzch zęby, rozwarte jak do kąsania, zastygłe w skurczu obnażającym dziąsła... Wreszcie wszystko obsunęło się bezwolnie i zgasło, pociemniało i ucichło... Leżało wyciągnięte bezwładnie, wolne od ruchu...

Ozwał się dzwon za umarłych. Królowa wstała Ze spuszczoną głową oddaliła się z miejsca kaźni, Czuł, jak serce jej uderza wolno i rozpamiętywa krwawą godzinę.

* * *

Leżał na placu bez życia. Ludzie odeszli, zostawili go. Los jego był dokonany. Lecz ludzkość żyła bratobójcza, mściwa, niepomna krwi przelanej. I widział pewnego dnia i godziny, kiedyś — w przestrzeniach czasu rzeszę ludzką, ogarniętą panicznym przestrachem, mającą jedno zgrozą objęte oblicze. Chmura rąk, łkających w powietrzu... Ponura tajemnica, idąca z niebios, od chmur ciężkich i okrutnych, jak dna rozpalonych kotłów. Wszyscy jakoby pierzchali, gnani rozpaczą, bo los straszliwy otaczał ich pałającym pierścieniem. On jeden leżał na placu bez ruchu. Nagle uczuł, że cały plac ciemny jest i pusty. Z okropności chmur pałających i strachu zostało tylko światło czerwone, palące się w górze uroczyście, jak oko potwora. Myślał z rozpaczliwym wysiłkiem o tajemnicy tego światła, drżąc, że mały płomyk życia w nim zagaśnie i że zapadnie w ciemność na wieki. Nagle uczuł, że jego dusza jest nikłą wahliwą falą w tem ciele rozciągniętym, nieruchomym, i owym światełkiem czerwonym w górze. Uczuł się w dwu miejscach: w ciele swem i w świetle na piętrze. Ujrzał, że dźwiga się i siada w osłupieniu. Wstał i chwiejnie ruszył z placu. I odtąd chodził po mieście — on, zmarły i niewidzialny, — patrzył, jak ludzie kupują jarzyny, kłócą się, żegnają, uśmiechają. Dręczyła go nieznośnie nicość tego wszystkiego.

(d. n.) *Leon Choromański.*

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

Książki dla dzieci i młodzieży.

Nasza literatura dla młodziutkich obywateli sprawia na mnie prawie zawsze wrażenie parkowych szpalerów, w których troskliwy ogrodnik pod sznur sadzi wszystkie drzewka, przystrzyga każdą gałązkę, starannie gracuje i zmiata uliczki, ale gdzie niema ani swobodnych szczęśliwych roślin, żyjących bujno, jak same chcą, choćby z kolcami i „wilkami", ani wolnych, dzikich ptaków, które gnieżdżą się na niedostępnych czubach dębów i z radosnym krzykiem biją skrzydłami powietrze...

A dla tego tak jest, że w Polsce wśród autorów i autorek, piszących dla młodzieży, mamy, niestety, mało, ale to bardzo mało talentów.

I jest to dziwne zjawisko, bo wszak wśród naszej współczesnej literatury pięknej dla dorosłych, jaśnieje bardzo wiele znakomitych nazwisk, a między nimi i liczne brylanty najczystszej wody, które zostaną nazawsze w skarbcu narodu.

Widocznie, że do tworzenia rzeczy pięknych dla młodzieży potrzeba odmiennego rodzaju talentu i że ten właśnie rodzaj jest najrzadszym darem przyrody.

Czy istnieje na świecie człowiek, któryby odpowiedział na pytanie: czym jest talent?

Nikt nigdy na to nie odpowie, bo to rzecz tak czarowna, przedziwna, lecz nieujęta jak daleki, głęboki szum morza, jak odblask tęczy na siatce skrzydeł, ważki, jak odległe wspomnienie godzin upojenia, które jest zaledwo echem echa rozkoszy doznanej, a jednak upaja wciąż jeszcze.

W czyjej duszy nie rośnie ów kwiat mistyczny, zwany talentem, ten niech się nie ima żadnej pracy twórczej, ten niech się nie ima przedewszystkim twórczej pracy dla dzieci... bo dzieci czytać go nie będą.

Przynajmniej żadne z dzieci, które znam (a znam ich setki) ani moje własne nie chciały czytać tych nudno-ckliwych książek, w których każda cnota odbiera nagrodę, każda wina karę... gdzie niema właśnie wolnych dzikich ptaków... a każdą gałązkę wybujałą nieubłaganie ogrodnik przystrzyga...

Natomiast znam wielu już ośmio i dziesięcio letnich malców, którzy dostają gorączkowych wypieków nad „Potopem" naprzykład, bo z tego utworu, bez względu na jego tendencję i oświetlenie, grzeje i świeci wielki płomień piękna.

Cudownym pod tym względem wyjątkiem są w literaturze naszej dwie powiastki Konopnickiej: **Jak się dzieci w Bronowie bawiły** (opisała Marja Konopnicka. Rysował Stan. Dębicki. Kraków. 1911 r. Nakład I. Mortkowicza) oraz parę lat temu wydana przez M. Arcta: **Historja o Krasnoludkach i sierotce Marysi**. O tych dwuch dziełkach pisać nie będę... czytałam je po wiele razy, za każdym razem nowy jakiś czar odkrywając, a tak tworzyć mogą tylko genjalne umysły.

Natomiast z zachwytem wspomnę o drugim jeszcze wyjątku wśród morza moralizatorskiej lukrecji, jakie dzieci nasze wypijają.

Są nim Janusza Korczaka dwa utwory: **Józki, Jaśki i Franki** (Warszawa, 1911 r. Wydanie J. Mortkowicza) i drugi: **Mośki, Joski i Srule** (wydane przez I. Mortkowicza w przeszłym roku).

Oto talent! Ile razy autor zapragnie, rzewny uśmiech wykwita na ustach czytelnika, ile razy chce, łzy drżą na jego rzęsach. I jakie łzy... czarowne! Powiedziano o artyście francuskim Coquelinie: „On nie gra Cyrana de Bergerac, on jest Cyranem"! Janusz Korczak nie pisał o dzieciach, on stał się dzieckiem... Wziął w siebie duszę dziecka, myśli jego mózgiem, czuje sercem, widzi jego oczami. Z tą tylko różnicą, że żadne dziecko na świecie nie potrafiłoby tak wyrazić tego, co się dzieje w jego duszy.

Cudne, subtelne i przegłębokie uczuciem dziełka. Dla mnie szczególnej „Mośki..." Dziś w dobie rozjątrzenia egoizmów narodowych z jakąż rzewną słodyczą padają np. takie wyrazy: (Mośki, str. 84) „Siedzimy koło drogi i kurz nam się sypie w śniadanie. Idźta dzieci na pole, bo tu kurz — mówi chłop.

— Jakże iść na pole, kiedy koniczyna zasiana, toż podepczą!

— Co tam mają po bosemu podeptać?! Idźta dzieci, to moje pole, ja pozwalam...

Chłopie polski! A spójrz na tych chłopców uważnie, toż to nie dzieci przecież, a bachory żydowskie, których w mieście nie wpuszczą do żadnego ogrodu, woźnica biczem spędzi z ulicy... To nie dzieci, to Mośki; więc nie spędzisz ich z pod wierzby przydrożnej, gdzie zasiedli, a na pole własne zapraszasz?...

Chłop uśmiecha się do dzieci łagodnie, życzliwie..."

A taki znów ustęp, czyż nie płomiennymi zgłoskami ryje się w sercu: (Mośki, str. 71—72) „Ktoś w żartach nazwał kruka księciem. Choć żart nie tak daleki od prawdy. Są w życiu dwa królestwa: jedno królestwo rozrywek, salonów i pięknych strojów. I tu są ci książętami, którzy od wieków byli najbogatsi, najweselej się śmieli i najmniej pracowali. Jest drugie wielkie królestwo — trosk, głodu i znojnej pracy; jego książęta już w dzieciństwie wiedzą, ile funt chleba kosztuje, — opiekują się młodszym rodzeństwem i razem z rodzicami ciężko pracują. — Czarnecki, Kruk z kolonji są książętami w państwie smutnych myśli i czarnego chleba, są książętami z dziada i pradziada; w prastarych czasach otrzymali zaszczytne szlachectwo".

Albo: (Józki, str. 24) „...mama Olka nie ma na świecie nikogo, nikogusieńko, a teraz, kiedy Olek wyjechał na kolonje, mama jest zupełnie sama — samiusieczka jedna na świecie... Olek płacze, a każda łza Olka jest tak święta, jak gdyby w każdej łzie Olka był krzyż, a na krzyżu Chrystus — bardzo smutny"...

Wiem, że ci, którzy nie czytali dotąd tych książek, przeczytają je teraz na pewno... po tych kilku zacytowanych zdaniach. A kończąc wzmiankę o nich, nie mogę nawet powiedzieć jak zwykle: oby nam ich autor dał jak najwięcej, ponieważ wiem, że dzieła talentu nie można ani wypracować, ani stworzyć choćby olbrzymią ilością dobrej woli. Przylatuje ono zawsze gdzieś tam... z błękitów.

Zofji Bukowieckiej wyszło parę nowych prac: **Królowa Morza** (Warszawa 1911 r. Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa) jest moim zdaniem najlepszy jeszcze ze wszystkich pozostałych książek, jakie przeczytać zdążyłem. Jest to zajmujący i barwny opis Wenecji oddany żywo i z wdziękiem. Tę pożyteczną, a co więcej ładną książeczkę szpeci fanatyczny, krańcowy klerykalizm, posunięty wprost do nieprzyzwoitości. Niema tu rozdziału któryby nie był nafaszerowany kotolicyzmem, jak wielkanocny przekładaniec bakaljami.

I tak np. (str. 32)... „rozrost, bogactwo, sława Kościoła, opiekuna skrzywdzonych, krzewiciela nauk i sztuk".

Dalej autorka wciąż mówi o małej pobożności Włochów w stosunku do naszej i dodaje: (str. 51). Nigdy nie miałem tyle otuchy w sercu, że Polacy wyproszą dla siebie miłosierdzie Boga, jak właśnie porównywając gorliwość modlitwy naszego ludu z modlitwą Włochów". A dalej opisy cudów jakie nagromadzili Włosi, dowody, że są narodem wolnym, idącym na czele sztuki wszechświatowej, i porównanie z ubóstwem i niewolą naszego kraju...

Albo takie znów pojęcie: (str. 80) „kto raz spojrzał na katedrę Sw. Marka ten... z rozczuleniem wspominać będzie pobożność (dawną[1]) Wenecjan, którzy zdobili przybytek swego patrona wszystkim cokolwiek pięknego zdobyć im się udało; darowywali mu nietylko klejnoty, ale wszelkie dzieła sztuki zrabowane na Wschodzie".

Co do mnie przynajmniej nie rozczula mnie wcale pobożność, która się zasadza na obdzieraniu i okradaniu innych, by swego patrona ozdobić. Jak można dla młodzieży (i dla dorosłych) pisać coś podobnego!

Takich cytat można przytaczać mnóstwo, a szkoda wielka, że ta książka podlana tak niesmacznym sosem, bo zresztą jest ładna, użyteczna i zajmująca.

O drugim dziełku Bukowieckiej powiastce pod tytułem **Hela** (Warszawa 1911 r. Nakładem M. Arcta) może byłoby lepiej wcale nie mówić, z obawy wypowiedzenia czegoś zbyt ostrego. Jednak choć kilka słów wypowiedzieć o niej nakazuje obowiązek sumienia, tak przykry do spełnienia tym razem.

Jest to książka głęboko niemoralna, niemoralna w znaczeniu najszerszym, w znaczeniu poczucia ludzkości. Przewodnia jej myśl zbliża się do tej, jaka "przyświeca" z „Wirów" Sienkiewicza. Socjaliści-ideowcy są w niej zohydzeni, przedstawieni w barwach, drażających, jako niedowarzone warchoły bez serca lub prości bandyci i rozbójnicy. Który zaś ma w duszy choć skrę uczciwości, nawraca się jak skruszona owieczka na zbawcze łono klerykalno-endeckich ideałów.

Autorka gorszy się tem, że socjaliści urządzaniem strajków każą cierpieć chwilowy głód robotnikom, a zapomina o tym, że ustrój kapitalistyczny skazuje na ciągły, systematyczny głód trwający nieraz całe życie olbrzymie masy ludzi, i na starość za dziesiątki lat pracy, pozostawia tych, którzy wytwarzają zasoby bogactwa — bez chleba i dachu!...

Autorka gorszy się tem, że ustrój przyszły chce burzyć rodzinę.

Cóż to za krwawa ironja! Czyż to nie ustrój obecny właśnie burzy krocie rodzin ubogich, oddając ich żony i córki na pastwę rozpusty mężczyzn posiadających. Czyż za każdym z naszych ojców, braci, mężów nie idzie w cieniu korowód mar z ogniem męczarni w źrenicach... kobiet sponiewieranych przez nich, korowód mar .. dzieci ich własnych rzuconych na nędzę i napiętnowanych hańbą za zbrodnię ojców!

Nie! Ustrój obecny broni tylko świętości rodzin bogatych, garstki rodzin, garstki kobiet...

Ustrój przyszłości bronić będzie świętości wszystkich rodzin bez wyjątku, wszystkich kobiet, wszystkich dzieci, bez względu na to, czy wynajęty kapłan, jakiegokolwiek wyznania, pozwolił ich matkom na miłość, a im samym na istnienie, czy też nie.

A litość chrześcijańska pojedyńczych czułych jednostek nie zmieni potwornych stosunków obecnych, bo wszak zawsze było wiele serc, które litowały się nad cierpiącymi i pomagały im, a mimo to, krwawa otchłań, w której cierpią katusze wydziedziczeni pracownicy, trwa, i trwa ciągle.

Dobrowolna filantropja prywatna to są tylko „nikłe płatki śniegu, wrzucane w gorejącą czeluść piekła dla ostudzenia temperatury płomieni".

I wydziedziczeni zaczynają już rozumieć (czego tacy ludzie jak autorka **Heli** wcale jeszcze nie rozumieją) — że te płatki śniegu stopnieją niedostrzegalnie, a cierpiącym nic a nic nie pomogą. Zaczynają rozumieć, że wszystko wywalczyć sobie muszą *sami*.

Dobrobytu człowieka nie może, jak dziś, warunkować ślepy przypadek, lub fantazja drugiego człowieka, choćby dla tego, że tych ludzi — altruistów jest nieskończenie mało na świecie. Dobrobyt każdego może i powinno warunkować tylko *prawo* przez wszystkich postanowione i dla wszystkich sprawiedliwe.

Dość!... Serce ściska się bólem, że już i do niewinnych serc dzieci, i to pod najniebezpieczniejszą formą zabawy, niosą ludzie brzydkie narzędzia fanatycznych, partyjnych agitacji!... Dla otrząśnięcia się z przykrych wrażeń jakie mi dała **Hela** zwracam się do ślicznej książeczki Jadwigi Chrząszczewskiej: **Promyki**. (Warszawa 1911 r. wydanie Gebethnera i Wolffa) Prawdziwe to promyki, jasne, miłe uśmiechy. Szczególniejszy mój szacunek budzi poważny pan doktór któremu „Dzięcioł" było na imię, a który dlatego tylko okularów nie nosił, że był jeszcze zbyt młody. Wezwano go do pewnej starej gruszy chorej na robaki; a pan doktór dotąd ją opukiwał i ostukiwał, aż nie-

[1]) Wtrącenie recenzenta.

tylko grusze wyleczył, lecz i sam potłuściał. Jadwigi Warnkówny: **Pieśń wieczorna.** (Warszawa 1911 r. nakład Gebethnera i Wolffa) Zbiór powiastek z życia zwierząt. Książka ta budzi uznanie zawartą w niej wiedzą przyrodniczą i ukochaniem młodzieży. Tylko jeden zarzut: jest za mało interesująca (z wyjątkiem paru powiastek prawdziwie miłych), a to jest warunek *sine qua non* oddziaływania na młodzież.

To samo zupełnie, lecz jeszcze w daleko wyższym stopniu powiedzieć można o dziełku Z. Morawskiej: **Na zgliszczach zakonu.** (Warszawa 1911 r. nakład księgarni Gebethnera i Wolffa) opisującem Grünwald i jego skutki. Przykro krytykować książkę, w którą autorka włożyła wiele sumiennej pracy i dobrej woli. Cóż kiedy one nie wystarczają tam, gdzie idzie o twórczość, o dzieła piękna. Talent, to światło czarowne, musi literackie utwory prześwietlać, inaczej są one martwe, szare i młodzież z zawartych w nich pożytecznych wiadomości nie korzysta, bo przeczytać ich nie ma cierpliwości.

Na zakończenie powiem jeszcze ze smutkiem, że tłomaczenia z angielskiego, a szczególniej ze szwedzkiego, jakie obecnie wyszły — przewyższają o wiele nasze oryginalne utwory, z wyjątkiem tych kilku o jakich mówiłam na początku, a które mogą być ozdobą literatury dziecinnej wszechświatowej.

Czyżby Anglicy, a zwłaszcza Szwedzi lepiej niż my rozumieli duszę dziecka?

Moi chłopcy (szwedzkie opowiadanie dla dzieci przez Gustawa af Geijerstam. Przełożyła Janina Mortkowiczowa. Warszawa 1911 r. Nakład I. Mortkowicza) Pełna wdzięku i świeżości powiastka o dwuch przemiłych małych obywatelach.

Cudowna Podróż część II-ga i III-cia (przez Zelmę Lagerlöf. Przekład I. Mortkowiczowej. Warszawa 1911 r. Nakład I. Martkowicza) dalszy ciąg opowieści o małym Nilsie zaczarowanym w Krasnoludka, który w tysiącach przygód uczy się poznawać i kochać nietylko ludzi, ale i zwierzęta. Niektóre szczególniej sceny tchną tu prawdziwym czarem poezji. Całość moim zdaniem jest trochę za rozwlekła i zyskałaby jeszcze gdyby zamiast we trzy, ujęta była we dwa tomy.

Nad dalekim cichym fiordem. Przez Gjems Selmera. Przekład I. Mortkowiczowej. Warszawa 1911 roku Nakład I. Mortkowicza) Zawiera szczególnie piękne obrazy. Nto n. p. ostatni zachód słońca przed zimą na północy Norwegji: „Słońce zachodzi na długie miesiące, a zanim odejdzie rzuca tak promienne blaski na niebo, jak gdyby wysilało się, żeby nas pocieszyć, wynagrodzić nam... długą swą nieobecność... Roztacza olśniewający przepych barw, a nad skałami wiszą obłoki jak rozsypane liście różane, które szepczą zarumienione: żegnajcie! żegnajcie!..,

Do pokoju wpadają ostatnie promienie słoneczne coraz ukośniej, wzzystko nabiera szczególnego piętna, niewymownie rzewnego nastroju, który mówi łagodnie i cicho o pożegnaniu.

A my wszyscy stoimy przy oknie w smutku i w milczeniu... siny, dziwny blask pada na wszystkie twarze. Słońce zachodzi coraz niżej, coraz niżej — o jakże się prędko staczał

Stoimy wszyscy tak cicho, tak cichutko, ale w naszych sercach drży skarga

Słońce, słońce więc opuścisz nas... Powoli, powoli znika słońce za ścianą skał...

Znikło.

Jak cicho stało się naraz... gasną liście różane na skałach i welon żałobny zwiesza się nad całą przyrodą"...

Czyż nie doprasza się pędzla genjalnego artysty ta gromadka dzieci znieruchomiała i zapatrzona z utęsknieniem w znikające światło?

Agni.

Na usługach dogmatu.

D-r F. W. Foerster: **Studenci wobec katolicyzmu.**

Już na wstępie, w którym przedmówca informuje o autorze, razi nas pewien frazes swą naiwnością czy złą wolą. Wyrażono w nim zdziwienie, że Foerster wychowany i otoczony przez bezwyznaniowców staje się z czasem jednym z najgorliwszych obrońców ideałów chrześcijańskich.

Ten ustęp każe czytelnikowi mniemać że bezwyznaniowość i ideały chrześcijańskie to są dążenia wykluczające się wzajemnie. Autor tych słów albo jest tak głupi, iż stał się ofiarą plotki, albo rozmyślnie w celach intryganckich świadomie puszcza w bieg tę plotkę w nadziei, że ona swój otumaniający wpływ wywrze pośród łatwowiernych rzesz ludzkich.

Jednym z wielu powodów uzbrajania się bezwyznaniowców przeciw wszelkiemu klerykalizmowi i katolicyzmowi jest obrona ideałów chrześcijańskich przed plugawieniem ich i deptaniem przez klerykalizm i katolicyzm, w których ręku ideały te zamieniają się na cyniczną parodję i oszustwo.

Ideał chrześcijański nie jest wcale istotną i integralną częścią katolicyzmu, który tego ideału nie stworzył a tylko go zapożyczał.

Ideały te powstały wcześniej, niż katolicyzm został powołany do życia i pewno go przeżyją i będą istnieć wówczas, gdy już katolicyzm, ze wszystkiem co jego jest, przejdzie do archiwum świata.

Przetrwają one pewno dlatego, że formułują jakby najwięcej zasadnicze konstytucyjne prawa pokojowego współżycia ludzi i narodów, które są wytyczną i kresem trwających dziś walk i zatargów.

Przechodząc do wywodów samego p. Foerstera, po którym można było się spodziewać czegoś wytrawniejszego niż wskazana broszura, spostrzegamy, iż popełnia tak zasadniczy błąd, że on jeden wystarcza do unicestwienia wszystkich pięknych słów autora.

Błąd ów popełniają wszyscy ludzie mający słabe poczucie rzeczywistości a obdarzeni tak bujną wyobraźnią, że pomysły jej biorą za rzeczywistość, przestając dostrzegać granicę między jedną i drugą.

Foerster wystąpił z gorliwą apologją i pochwałą katolicyzmu, ale nie tego rzeczywistego, który się objawiał i objawa bardzo namacalnie w życiu, lecz tego, który wyobraźnia Foerstera namalowała, tego katolicyzmu, który mógłby istnieć gdyby nie tysiączne „gdyby".

Oprócz tego p. Foerster, odurzony widocznie własną wymową, zapomina się na tyle, że na 43 stronicy wyśmiewa zasadę którą zachwalał i zalecał na 14-ej. Takie są — powiedzmy — metodyczne błędy p. Foerstera. Nie mogąc zastanawiać się tu nad wszystkimi dziwactwami broszury p. Foerstera, dla przykładu rozpatrzymy tylno jedno.

Pan Foerster, ubolewając, że względem kościoła katolickiego żywi się jak mniema mnóstwo uprzedzeń, zaleca studentom, by nie śpieszyli się z potępieniem tego kościoła, nie zabrawszy się uprzednio do sumiennego badania jego form i ducha. Pozornie wydaje się że nie może być nic słuszniejszego ponad to, ale to tylko na pierwszy rzut oka Przypuśćmy że zasada ta p. Foerstera obowiązuje zawsze i wszystkich, wówczas ludzie tacy jak pracownicy biurowi, felczerzy, akuszerki i t. p. kategorje ludzi pochłoniętych zawodową pracą, musieliby się wyrzec niemal wszystkich przekonań, gdyż samodzielnymi, sumiennymi w dodatku, badaniami nie mogliby je poprzedzić. Nieliczni ludzie, którym okoliczności życia dają więcej czasu do badań sumiennych jak np. choćby sam p. Foerster trzymając, się tej zasady, po najdłuższym życiu zdobyliby może prawo żywić przekonanie w jakich dziesięciu kwestjach a co do reszty zegadnień wyrzec by się musieli wszelkiego poglądu, bo wszak pamiętać trzeba że su-

mienne badanie jakiego bądź zagadnienia społecznego pochłania całe lata pracy. Jednym słowem zasada wygłoszona przez p. Foerstera, traktowana poważnie, przyjęta bez krytyki, doprowadziłaby do absurdu w tej postaci, że zginęłaby wszelka publiczna opinja z nadmiaru sumiennego badania kwestji przez każdego z osobna na swój własny wyłączny użytek.

Np. pogląd, że tygrys jest zwierzęciem drapieżnym nie prędzej mógłby być uznanym za słuszny aż by każdy został przynajmniej raz w życiu rozszarpany przez to wspaniałe zwierze bo p. Foerster zaleca samemu o wszystkiem się przekonywać.

Dziwaczność zasady wygłoszonej przez p. Foerstera ujawnia się przez absurd do jakiego ona w konsekwencjach swych prowadzi. W ustach p Foerstera ta zasada tem więcej zdumiewa, że na 43-ej stronicy tej samej broszury sam usiłuje dowodzić, że ciągłość i postęp wiedzy wymaga autorytetu i jakby na urągowisko sobie samemu cytuje słowa Jeremiasza Gothelfa który o człowieku wyznającym zasadę p. Foerstera mówi: „Chciał sam przeżyć całą historję świata a nie pomyślał, że był równie szalonym jak człowiek który wszelkie trucizny chciał wypróbować na swym własnym organizmie i póty żadnego ziela nie uważał za szkodliwe, póki go sam na sobie nie wypróbował, aż go skutki tej próby o śmierć przyprawiły”. Zasadą wygłoszoną na 43 ej stronicy p. Foerster własnoręcznie unicestwił zasadę zalecaną na stronicy 14-ej. Przez to dał dowód, że gdy wypowiada się w sprawie katolicyzmu, miotają nim jakieś nam nieznane afekty, które pozbawiają go trzeźwości sądu i rozumowania.

Otóż zasada p. Foerstera, którą poddaliśmy rozbiorowi domyślnie wypowiada mniemanie, że niepochlebna opinja o kościele katolickim niema za sobą gruntownych badań. Gdyby p. Foerster umiał w tej kwestji trzeźwo sądzić, to wiedziałby, że ta niepochlebna opinja opiera się na sumiennych badaniach jak tego nie bez słuszności chce p. Foerster, tylko te sumienne badania nie są przeprowadzone przez każdego z osobna z pośród wyznawców nieprzychylnej opinji, jak tego zupełnie bez słuszności żąda p. Foerster.

Wyznawcy nieprzychylnej opinji o kościele katolickim korzystają, nie każdy z osobna ze swych własnych sumiennych badań, lecz z obserwacji faktów, zachodzących w ich otoczeniu, tudzież czerpią wiadomości z sumiennych badań dokonanych przez tych, którzy się temu wyłącznie oddali. Wyniki tych badań zestawiają z tym, co im jest wiadomem, mierzą skalą swego krytycyzmu, przyjmują je lub odrzucają, i taki tryb sądzenia jest zupełnie słuszny.

Alexy Kurcyusz.

NA DOBIE.

Jeszcze w sprawie szkoły kolei Wiedeńskiej.

Z powodu listu „naczelnika” szkoły, p. Kalińskiego, w Nr. 49 *Prawdy* otrzymaliśmy cały szereg listów od pracowników kolei Wiedeńskiej. Z braku miejsca nie możemy ich drukować w całości i ograniczamy się do przytoczenia najcharakterystyczniejszych wyjątków.

„Pan Kaliński — czytamy w liście robotników warsztatów kolejowych — pisze, że wprowadził niemiecki język, lecz zapomina dodać, że język niemiecki był i w dawnej niższej (jak ją nazywa p. Kaliński) szkole, a został wyrzucony z programu przez p. Kalińskiego z obecnej szkoły niby średniej... i dopiero został wprowadzony na usilne domaganie się robotników, którzy chcieli koniecznie zwołać zebranie rodzicielskie, a które dzięki p. Kalińskiemu, do skutku nie doszło, gdyż prawdą jest, że nie śmie rodzicom uczniów spojrzeć w oczy... Warsztaty zaś i owa chętna praca, na którą się powołuje, to my, badając dzieci nasze, widzimy w tym tylko zmarnowanie czasu, a roboty, które były na pokazie publicznym, po większej części wykonywane były przez majstrów, lub kupione na mieście (!? *przyp. Red.*) jak szachy i t. p... Umywalnie i kąpiele, to prawda, zostały urządzone, ale... na kąpiele został przerobiony ustęp (!)... Umywalnie są na korytarzach, lecz p. Kaliński nie każe dać mydła i ręczników tak, że gdy uczeń umyje ręce, to zmuszony jest obcierać je w chustkę do nosa, lub w szynel jeden drugiemu”.

Z powodu pochwał, które sobie oddaje p. Kaliński za podniesienie stanu higjenicznego szkoły, czytamy w innym liście: „Ściany są brudne, niemalowane od r. 1907, (!) sufit sypie się uczniom na głowy, w ścianach są dziury, tak samo i podłogi dziurawe...”

W innym jeszcze liście jeden z pracowników kolejowych uskarża się, że „podniesienie wpisu równa się zamknięciu szkoły dla synów zwrotniczych, spinaczy, hamulcowych, smarowników i wielu innych pracowników...” i żali się, że „zamiast porządnych warsztatów, uczniowie przeważnie wyplatają koszyczki, z którymi, niestety, ich rodzice nie mogą chodzić na grzyby”...

Łącznik — pismo poświęcone sprawom oświatowo-zawodowym kolejnictwa polskiego — usiłuje bronić obecnej gospodarki szkolnej. Dwukrotne jednak wystąpienie w tej kwestji *Łącznika* przedstawiło tę gospodarkę jeszcze w jaskrawszym oświetleniu. Fakty przytoczone w Nr. 22 *Łącznika* w artykule „W sprawie szkoły kolejowej” są wprost zabójcze dla zarządu szkoły. Według *Łącznika* w 1906/7 r. 749 uczniów kosztowało kolej 47,373 rb. a w roku bieżącym do 385 uczniów kolej dopłaca 62,350 rubli. Czyli, że p. Kaliński zdołał podnieść koszt nauczania jednego chłopca z 60 na 160 rb. rocznie, mając lokal szkolny darmo! Tyle nie kosztuje zapewne uczeń w najbogatszej szkole polskiej. Na co idą te pieniądze? W 13 klasach szkoły godzin tygodniowych może być nie wiele więcej niż 400; licząc godzinę po 75 rb. przeciętnie, otrzymujemy 30,000 rb., doliczajac 10,000 rb. na utrzymanie „naczelnika”, wychowawców, kancelarję i woźnych, dojdziemy do 40,000 rubli. Na co idzie z górą 20,000 rubli? Nawet wykonywanie takich robót, jak zastąpienie w jednym roku podłogi drewnianej asfaltową, a w następnym roku zamiana asfaltowej na drewnianą... w tej samej sali nie może pochłonąć tak znacznej sumy.

Artykuł *Łącznika* utwierdził nas jeszcze bardziej w tym przekonaniu, że gospodarka p. „naczelnika” szkoły kolejowej wymaga sanacji nietylko ze względu na małą wartość pedagogiczną szkoły, ale i z powodu marnotrawienia przez nieudolną administrację pieniędzy ofiarowanych z dobrej woli przez akcjonarjuszów drogi, oraz krwawo zapracowanego grosza, uzyskanego przez podniesienie wpisu od najgorzej wynagradzanych pracowników kolejowych.

Zródła religji.

Nietylko myśl religijna spoczywa u nas w powijakach, ale wogóle w całej dziedzinie uczuć i pojęć, związanych z religją, panuje szablon, zastój, martwota. Na okopach św. Trójcy rządzi stereotypowy frazes. Żadnej idei twórczej, żadnych dążności syntetycznych. Spotykamy się albo z bezwzględną i ślepą afirmacją, albo z bezwzględnym przeczeniem, przyczym godzi się zauważyć, że nie właściwa religja, ale *klerykalizm* jest u nas od pewnego czasu przedmiotem rozważań i sporów.

Religja, wzięta w pacht przez urzędowych rzeczników i kondotjerów niesumiennych i nieszczerych —

źle na tym wychodzi. W ustosunkowaniu jakościowym, w blizkim sąsiedztwie Macochów, dzieje się jej krzywda. Musieli to zauważyć i zaniepokoić się tym ludzie istotnie, na sposób współczesny, religijni: protestanci. I rzeczą jest charakterystyczną, że gdy przysięgli obrońcy katolickiego kościoła umieją się zdobyć li tylko na zjadliwe i płytkie pamflety, lub na przekłady i kompilacje z dzieł cudzych — pastor J. Machlejd, który jest zarazem dyrektorem Szkoły Polskiej im. Reja — stanął odważnie i lojalnie na wyłomie, uczynionym ostatnio w murach religijnego światopoglądu. Wygłoszony przezeń odczyt p. t. *Źródła Religji* znamionuje, obok uczuć o mistycznej predylekcji, umysł nowoczesny i światły, wdrożony od dziecka do pragmatyzmu i szanowania idei postępowej.

Protestantyzm zresztą musi zawierać w sobie pewną dozę czynników ewolucyjnych, na co chętnie kładą nacisk autorzy bull i encyklik. Przeszłość, której hołduje, zrodziła się w burzach rewolucyjnych Reformacji, zaś przyszłość, tworzy coraz rozlewniejszy szlak teozoficzny wolnej egzegezy. To też można powiedzieć śmiało, że uczucie religijne, które niechce skłócić się ze światem współczesnym, ani wypowiedzieć walki kulturze świeckiej — *musi* dążyć w kierunku wskazanym przez Lutra i Kalwina...

Nie będziemy spierali się z p. Machlejdem o to, czy religja jest wieczną, lub tylko przejściową formą poszukiwania i poznawania prawdy. Z samej analogji, rzuconej na wstępie odczytu, pomiędzy średniowieczem, kiedy religja głuszyła wszystko swoim donośnym głosem, a chwilą obecną, która jest dla niej obojętna lub wroga — wypadło by raczej przyjąć ostatnie wnioskowanie.

Prelegent jednak, zgodnie z duchownym swojem, powołaniem, opowiedział się za wiecznością religji, której źródeł szukać należy w intymnej świadomości człowieka. Owo twierdzenie wygłosił p. Machlejd ze szczerością i mocą uczucia, które tak miło jest uszanować w człowieku wierzącym, gdy go nie szpeci ani zjadliwa nietolerancja, ani nałóg władczego fanatyzmu.

Sympatje francuskie.

W nieszczęsnej ziemi Chełmskiej, pod wpływem rozlicznych i wiadomych czynników zastoju, represji, przygnębienia — życie publiczne sprowadza się dziś do elementarnych cech i funkcji wyznaniowych, jak w XIV wieku. To też jest owa ziemia opłakanym, smutnym wyjątkiem w zaraniu tego stulecia, i jakby krwawym preparatem ku politowaniu i zgrozie dzisiejszych pokoleń mającym obrazować upadek świeckiej kultury pod brzemieniem dwóch walczących kościołów.

A jednak niebrak takich działaczy, uchodzących za liberalnych i światłych, co chcieliby schemat chełmskiego życia rozciągnąć na całe Królestwo. Niedawno wszak dowodził Ludwik Straszewicz, że głównym objawem przynależności naszej do kultury zachodniej jest obrządek łaciński wbrew bizantynizmowi Wschodu. I było to powiedziane w chwili, kiedy wypadki na półwyspie Iberyjskim dowiodły, że kultura Zachodu ma tę chyba styczność z rygorem wyznaniowym, jaką ma pacjent z przewlekłą chorobą, która go nareszcie opuszcza.

Czas już pojmować, że jeśli nasze współżycie z kulturą zachodnią ma być harmonijne — oprzeć się musi na innych zgoła, niż wyznaniowe, podstawach. Sformułował to udatnie p. E. St. Rappaport w art. *Sympatje francuskie* (*Świat* Nr. 50) powiadając:

„Dziś rywalizacje wpływów politycznych i ekonomicznych uzupełnia trzeci czynnik, mniej podkreślony, gdyż mniej na pozór widoczny: współzawodnictwo *kulturalne* w świecie nauki i sztuki... I znów rozpoczyna Francja akcję ratunkową, znów ogląda się za punktami oparcia w Anglji, Ameryce, krajach łacińskich, wśród mahometan, wreszcie we *wszystkich* krajach słowiańskich, w krajach Niemiec najbliższych przedewszystkiem. Oto dlaczego... zajęto się dziś w Paryżu—Polską-Alzacją Wschodu... A w danym odruchu, w tej nowej sympatji frankopolskiej, wspólna *kultura łacińska*... jest ową więzią, co sympatje naturalne umocni i znów w obustronnie owocną przyjaźń — obronę przeobrazi".

Monsieur Duval, pionier przemysłu.

Do uwag w N-rze poprzednim na temat wątpliwych dla kraju korzyści, a wybitnie pasożytniczych cech „naszego" przemysłu — możemy dziś dorzucić *adhoc* jak gdyby stworzony obrazek rodzajowy, wyjąwszy go z ram świeżo wydanej nowej powieści Wacława Berenta:

„Minęli wreszcie te rojne zaułki i wydostali się w pustkę długiego traktu, biegnącego równolegle do rzeki. Tu i owdzie przez poprzecznice widniał prąd mętnej roztoczy wodnej, dziwnie obfity i wartki o tę porę zimy łagodnej. Droga zamieniła się rychło w roztopy błotne; powietrze stawało się pełne dymów, pyłu węglowego i kołatów metalicznych; dudniał zdaleka głuchą monotonią wielki młot walcowni. Jeżyły się naokół kominy fabryczne.

Panowie Mikulski i Bogdanowicz ożywili się w nagłej gawędzie ze sobą i rozglądali ciekawie; niby ci przyrodnicy współcześni, którzy swą przyrodę naprzód z książek poznają i sprawdzają potem ciekawie oglądane *species* z ich schematem w pamięci. Coś się tam tłukło w ich rozmowie o naszym „przemyśle".

— A jakże: nasz! twój i mój, — ofuknął ich Komierowski. — Tamto wszystko, aż do muru — to belgijskie; dalej: ten szereg grubych kominów — to niemieckie, a z drugiej strony — francuskie; te fabryczki przy ulicy małe — to żydowskie. Wszystko to jest bardzo nasze.

— Kapitał nie zna ojczyzny.

— Zacznijcież swoje! — „Chodziła czapla po czerwonej desce..." — Ale ma pewno takie miejsca gdzie się urządza, zagospodarowywa, a z sobą poniewoli i kraj cały, gdzie się konsumuje, wytwarza potrzeby liczne i wyższe gałęzie zatrudnień, gdzie krąży, dzieli się, rozpada, gromadzi — ta nagromadzona stąd praca. Odbywa się to wszystko we Francji, Belgji i Niemczech. Te kominy czerwone to wielkie ryje, wielkie ssawki pracy przyssane do tej ziemi na cudze korzyści. Nasze jest to, co było tam po zaułkach... I nie nudźcie już o tym.

Ale młodym panom nie było do zamilknienia: dysputa teraz właśnie rozpętała się między nimi na dobre.

— Ot, spojrzyjcie! — przerwał im, wskazując na chlapiący błotem powóz — jedzie taki cudzoziemski dygnitarz kapitału: *explorer* na murzynach. I dałby kto wiarę, że to jest Francuz! Patrzcież, nie raczył się nawet odkłonić tamtemu poczciwcowi. Czy taki *bonhomme* z fizjonomją paryską byłby możliwy u siebie w tym potwornym odęciu się pychy? *Mais, mon cher monsieur Duval, qu'avez vous donc*? Polskaż to pana tak rozdęła pogardą?... Nie, panie, nie kłaniamy się. To spojrzenie!... Przejechał. I z Bogiem. Do miłego zobaczenia się — w milszych czasach lepszego respektowania." (*Ozimina*, str. 295-6).

Ksiądz, który nas nie dziwi.

„Dziwnym księdzem" nazwaliśmy pewnego kapłana polskiego w Paranie, który niedość, że krzewi oświatę w swej zamorskiej parafji, lecz nadto przesyła szczodry datek na szkołę ludową w Sokołówku, wraz ze słowami zachęty dla redakcji *Zarania*...

Na widok tak potwornego zjawiska, wybuchła w obozie klerykalnym wrzawa.

— „My tego księdza Józefa Anusza — wołał *Dziennik Powszechny* — którego *Prawda* nazwała tylko „dziwnym księdzem", nazwiemy księdzem przewrotnym... Katolicy takich znać wogóle nie chcą, a panowie radykałowie i wolnomyśliciele raczą się zadowolić tylko tym jednym swoim dziwnym księdzem"..

Nous en prenons acte — ze skromną wszakże uwagą, że poza dziwnym księdzem roi się ogół księży pospolitych, takich, których wolnomyśliciele znać wogóle nie chcą, ale z którymi sfery pobożnych zachowawców w stałym są kontakcie. Jednym z tych jest niewątpliwie poznański redaktor *Filarety* ks. dr. Kamil Juljusz Kantak, który niedawno bluznął szyderstwem na to, co Polakowi jest tradycyjnie drogim i świętym — owe nieśmiertelne na tułaczce Legjony, co szły po przez świat zwycięzkie, huczne, nie odparte, z hasłem wolności i równości w sercach, z wizją ojczyzny w bezsennych oczach. W antypatji swej do tych „kolorowych ułanów" jest ks. Kantak niewątpliwie kiepskim bardzo Polakiem, ale poprawnym rzymskim sługą, bowiem cóż oprócz niechęci i odrazy może w nim budzić ta młódź, kipiąca zapałem rewolucyjnym, nauką Woltera i Russa przejęta, która dźwignęła wszak nawskroś masońskie Księztwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe?... Ten ksiądz nas nie dziwi.

Jeszcze mniej dziwi nas ks. rektor Kowalski z Ostrołęki, który, osiadłszy w kościele poklasztornym otoczył się licznym pocztem sług wraz z urodziwą „siostrą", systematycznie przez rok ściągał sowity haracz dewocyjny, prowadził żywy handel świętościami, a nadto pobrał sporo pożyczek, depozytów, legatów — nawet od miejscowych żydów — poczem zniknął w burzliwą noc, wraz z „siostrą" i obfitym bagażem. Podobno, wśród okolicznej ludności, efekt tego zniknięcia był nadzwyczajny...

Śladów tego efektu szukaliśmy napróżno, przez cały miesiąc, na szpaltach pism klerykalnych, tak czujnych i wrażliwych na uczynki ks. Anusza. Milczano. Ani jednego słowa alarmu, ani jednego gestu oburzenia. Widocznie ten ksiądz, nietylko nas, ale nikogo wogóle nie zdziwił.

POD ŚWIATŁO.

Wieczerza jubileuszowa.

Siądźcie, dzieci, spokojnie do wieczornej kaszy:
krewni obok siebie. Cokolwiek się zdarzy,
błogosławmy Boga. Nie wszystko w mocy naszej;
wierzcie nam, bośmy starsi (ot, zmarszczki na twarzy).

Grzeczni ustąpią miejsca oślepłym i głuchym,
za to coś na cukierki może się okroi...
Przed obcymi nie plujcie w gniazdo: kto jest duchem
„Zachęty" dla narodu, historji się boi...

Między sobą możecie różne mieć historje;
wobec kraju, pst! cicho!... Dobre sprawowanie
oto grunt. Zasługa wyższej kategorji,
to życie pełne potu — potem używanie.

Rn.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* W postępowym tygodniku lwowskim *Życie* zabrał głos Konstanty Srokowski na temat *Nowych zadań demokracji galicyjskiej*. Z artykułu wybitnego publicysty pozwalamy sobie przytoczyć wyimek, jędrnie i trafnie, acz w lekkiej i żartobliwej formie, ukazujący demokracji galicyjskiej potrzebę rewizji dotychczasowych metod:

Jak w geometrji, tak w życiu jednostkowym i społecznym, a więc i w polityce, linja prosta jest między dwoma punktami drogą najkrótszą, a w polityce jeszcze i najpewniejszą. Linja prosta powinna być godłem demokracji jako symbol jej szczerości i uczciwości politycznej. Nie klnijcie się panowie pod Tatrami, że odbudujecie Polskę (fakt autentyczny), nie przyrzekajcie demosowi raju na ziemi, bo to niedorzeczne, nieszczere i niepraktyczne zarazem. Bo primo, zawsze się znajdzie ktoś, kto słowa swoje jeszcze mniej od was będzie cenił, i ten was z reguły przelicytuje; secundo, przestaną wam wierzyć i to tym rychlej, im więcej miały wasze obietnice pozorów realizmu i ziszczalności. Kiedy bowiem agitator ruski obieca chłopom rozdział dóbr np. kameralnych to mu to nic nie zaszkodzi w opinji jego wyborców. Bo zawsze on będzie miał przed nimi wytłumaczenie, że chciał i starał się o ten rozdział, ale panowie nie dopuścili. Lecz jeżeli panowie obiecujecie kanały spławne i posiadacie taką na nie rękojmię, jak prawomocna ustawa państwowa, to czym się będziecie przed wyborcami tłumaczyć z nieuzyskania tych kanałów? Czyżby tym, że pan doktór Biliński wam nie pozwolił?

Od demokracji nikt rozsądny nie żąda, aby na tym agrarno-klerykalno-feudalnym ugorze, którym niestety, ciągle jeszcze jest nasza piękna Galicja, wybudowali odrazu piękne pałace, sięgające aż pod niebo. W kraju z 50 procentami analfabetów, w kraju, który trudni się najmniej zyskownym handlem, mięśniową siłą swoich własnych obywateli, który dzisiaj odgrywa analogiczną rolę, jaką niegdyś odgrywała Gwinea i Afryka Centralna, dostarczająca niewolników na targi amerykańskie, w takim kraju wszelka nawet niezbyt stosunkowo śmiała obietnica, musi zakrawać na humbug. Demokracja będzie miała dość zasługi, skoro połata ten dach, który wedle dumnego orzeczenia ś. p. hr. Wojciecha Dzieduszyckiego jest ogniotrwałym, jeżeli połata go, aby haniebnie nie przeciekał, jeżeli biedne nasze domostwa odnowi chociaż trochę. Gdy zaś zdobędzie się jeszcze na jaką skromną przybudówkę, to będzie już miała wdzięczność naszą z wieńcami, śpiewami, kto wie nawet czy nie z pomnikami. O, bo my strasznie lubimy być wdzięczni. Pan Paderewski wie o tym chyba najlepiej.. Dla nas — to prawdziwa przyjemność pracować — szczególniej za granicą... Powiedziano bez przesady i tylko z odrobiną ironji!...

Niechaj więc demokracja nasza nie obiecuje nam wiele. Przeciwnie, niechaj obiecuje nam mało, nawet mniej, niż może, bo będzie wówczas miała sposobność do urządzenia miłych niespodzianek. Ale jedno — niechaj obietnic swoich dotrzymuje, lub przynajmniej niechaj widocznie i na prawdę stara się o ich dotrzymanie.

* „Księdza, który nas nie dziwi„ (por. *Na Dobie*) zwie *Goniec* bez ogródek „bezczelnym fałszerzem", temi słowy komentując głośne dziś w całej Polsce zajście z poznańskim „filaretą":

Bezczelny fałszerz. W Poznaniu pod szanownym tytułem „Filareta" zaczęło wychodzić pismo, mianujące się organem młodzieży. Już w drugim numerze tego pisma jeden z redaktorów, ks. Kamil Kantak, wystąpił z artykułem, w którym rzekomo w obronie ideałów pracy pokojowej zohydza widmo „kolorowego ułana", a naszych bohaterskich żołnierzy z początków wieku XIX nazywa: „trutniami, darmozjadami i Zagłobami".

Umieszczenie tego bezczelnego ujadania w piśmie zatytułowanym „Filareta“, jest obrzydliwym nadużyciem tytułu, który w dziejach związał się z pamięcią młodzieży szlachetnej i patrjotycznej — i nie sposób go nazwać inaczej, niż fałszerstwem.

Prasa poznańska, nie wyłączając konserwatywnej, wystąpiła ostro przeciwko bezczelnemu księdzu, a młodzież poznańska w sobotę na wiecu uchwaliła rezolucję, potępiającą jego artykuł i zastrzegającą się przeciwko pretensji jego pisma do tytułu organu młodzieży.

Ksiądz Kantak odznaczył się już był jako autor artykułów w „Świecie Słowiańskim“, gdzie propagował myśl utopienia Polski w morzu słowiańskim.

* Nasza notatka o „Dziwnym księdzu“ z Parany odbiła się głośnym echem w prasie klerykalnej. *Dziennik Powszechny* upewnił nas pośpiesznie, że wzmiankowany „dziwny ksiądz“ jest jedynym swego rodzaju egzemplarzem. I oto tu sprawa przybiera obrót niespodziewany, bowiem za spotwarzony przez *Dziennik P.* ogół polskiego duchowieństwa ujmuje się bardzo słusznie jedno z pism postępowych. P. St. Poraj w *Gazecie Kujawskiej* pisze co następuje:

Byłoby może przezorniej, aby „Dziennik Powszechny“ nie ręczył tak pochopnie w obecnych czasach za to, że księży zdolnych popierać materjalnie oświatę ludową, trzeba szukać aż... w Paranie.

Są już takie jednostki ofiarne, prawda b. nieliczne i wśród księży z Królestwa.

Są już tacy między nimi, co od lat paru wysyłają na swój koszt stypendystów i stypendystki z ludu do Kruszynka, Pszczelina i Sokołówka. Są tacy, co b. owocnie krzewią wśród ludu wiedzę rolną i ogrodniczą. Są tacy, co popierają czynnie ruch kulturalny na wsi. Są tacy, co kazania miewają w formie pouczających społeczno-etycznych dysput:

Są wreszcie tacy księża, którzy nie tylko nie potępiają pisma takiego, jak „Zaranie“, ale są jego żarliwymi obrońcami i kolporterami.

No, ale o obywatelskiej, zgodnej z duchem czasu, działalności takich jednostek z pośród duchowieństwa, u których pod czarną sutanną uchował się człowiek, umiejący myśleć i czuć, postępowcy i działacze ludowi do czasu, nic nie mówią, nazwisk ich nie wymieniają, jenak z racji uroczystego zapewnienia „Dziennika Powszechnego“, że ks. Anusz, jest jednym białym krukiem między czarnymi, uważam za właściwe, z pobudek czystej miłości bliźniego przestrzec redakcje klerykalnego organu, aby swej powagi nie narażała na szwank, bo niedaleka przyszłość może zaprzeczyć podobnym twierdzeniom pisma, cieszącego się aprobatą biskupów i szambelanów papieskich.

* Przewodniczący wiecu *Spójni* paryskiej z d. 29 listopada prostuje komentarz *Prawdy* (Nr. 50) w liście, którego, niestety, z powodu niewłaściwej formy pomieścić nie możemy. Korespodent paryski *Nowej Gazety* (Nr. 575) ze swej strony upewnia, że p. Auerbacha, współpracownika *Prawdy*, chciało wyprowadzić z sali „kilku zapaleńców“, jednak zebranie było temu przeciwne.

Obie te relacje rażą widoczną sprzecznością. Bądź co bądź jednak groźba fizyczna ze strony wiecu młodzieży wobec jednego człowieka, niechby nawet „nerwowca“ nie znamionuje kultury duchowej.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P-nu Lucjuszowi Zapolskiemu w Paryżu. Nadesłanego nam listu z powodu niewłaściwej jego formy zamieścić nie możemy.

Książki nadesłane do Redakcji:

Jadwiga Marcinowska: „Z głosów lądu i morza.“ Warszawa—1911. Nakł. Tow. Akc. S. Oogelbranda i S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. str. 378.

Jadwiga Warnkówna. „Pieśń wieczorna“, 15 powiastek dla dzieci do lat dziesięciu, z rysunkami. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółki, 1911, 8-ka, str. 154. Cena kart. rb. 1,20, w opr. rb. 1,60.

Zofja Bukowiecka. „Dzieci Warszawy“, opowiadanie dla młodzieży, wydanie drugie, z 8-ma rysunkami, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911, 12-ka, str. 365. Cena kart. rb 1,20, w opr. rb. 1,50.

Z. Morawska „Na zgliszczach Zakonu“, powieść dla młodzieży, z 9 rysunkami Stanisława Bagieńskiego, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911, 12-ka, str. 258. Cena kart. 1,30, w opr. 1,60.

Jonatan Swift „Podróże Guliwera w układzie dla młodzieży“, przekład polski C. Niewiadomskiej, wydanie trzecie, z ośmiu rycinami, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911, 12 ka, str. 259. Cena kart. rb. 1, w opr. rb. 1,30.

Zofja Bukowiecka. „Królowa morza“, z listów Jaskółki przepisała —, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebetner i Spółka, 1911, 12-ka, str. 195, cena kart. 1,40, w opr. 1.70.

Mieczysław Brzeziński. „Moje wakacje na wsi“, wydanie nowe, przerobione i powiększone, z licznymi rysunkami, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911, 12-ka. str. 199. Cena kart. rb. 1,20.

Antonina Sadowska „Obrazki“ dla dzieci od lat pięciu do siedmiu z 20 rycinami K. Górskiego; wyd. II, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, 1911, str. 80.

Selma Lagerlöf. „Cudowna podróż“ część druga. Przekład J. Mortkowiczowej. Ilustracje B. Liljeforsa, C. Kioiboe, E. Otto. Nakład Jakóba Mortkowicza, Warszawa, 1911, G. Centnerszwer i S-ka. str. 189.

Janusz Korczak: „Jóżki, Jaśki i Franki“. Nakład Jakóba Mortkowicza. Warszawa, 1911. G. Centnerszwer i Sp. Lwów. Księgarnia H. Altenberga. Odbito w drukarni narodowej w Krakowie. Okładkę i ilustracje wykonał Adam Ostrowski. str. 142.

Wacław Sieroszewski. „Bajki“ z 50 rycinami, winieta okładkowa rysunku Jana Rembowskiego, oryginalnie wykonana sposobem litografji. Rysunki w tekście Jana Małachowskiego. Spółka nakładowa „Książka“, Kraków, str. 252.

H. Orsza. „Na ziemi polskiej przed wielu laty“. Rysunki Z. Ostrowskiego. Nakład Centnerszwera i Sp. Warszawa.

M. Konopnicka. „Jak się dzieci w Bronowie bawiły“.

Jadwiga Chrząszczewska. „O tym, co się niegdyś działo“, opowiadania z historji Polski. I. Wydanie ilustrowane. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1911, 8-ka, str. 32). Cena kartonu rb. 1,20, w opr. 1,50.

Lilian Gask. „W szkole przyrody“, opowiadanie dla młodego wieku, z angielskiego przełożył Stefan Barszczewski, z 12 ilustracjami, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911, 12, str. 266., w opr. rb. 2.

Widnokręgów, dwutygodnika lwowskiego poświęconego kulturze polskiej, ukazał się zeszyt XIX i zawiera treść:

Grzegorz Glass: Odwieczna baśń, Trinitas, Pantheon polski; Wyspa śmierci, poezje satyryczne; D-r M. Borowski: Filozofja Awenarjusza; Tadeusz Dąbrowski: Polski dramat mitologiczny; M. Olszewski: Sztuka dzisiejsza ma zbyt muzealny charakter; P. Sterling: Płaczkowie; Przegląd społeczny: Żulin i jego znaczenie; Przegląd literacki przez E. Iloszewskiego; Teatr przez J. Kadena; Książki i prasa: Książki nadesłane; Od Redakcji.

Antoni Lange. „Stypa“, powieść. Pierwszy tysiąc. Warszawa, 1911. Wydawn. Wł. Okręta, str. 200.

Virago, sztuka w 4 aktach, Wilhelma Feldmana; Kraków—Warszawa, 1911, str. 144. Cena rb. 1

Erazm Majewski. „Nauka o cywilizacji“ II. „Teorja człowieka i cywilizacji“. Warszawa, 1911, nakł. księgarni E. Wende i Sp., str. 348.

Polonus. „Psychologja obecnego Sejmu Galicyjskiego“, Kraków, Nakł. Red. „Głosu Narodu“, 1910, str. 80. Cena kop. 45.

Savitri. „Brunhilda“. Wydawnictwo „Sfinksa“. Warszawa, 1910. Cena kop. 50.

Do numeru niniejszego dołącza się prospekt *Sfinksa*.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.